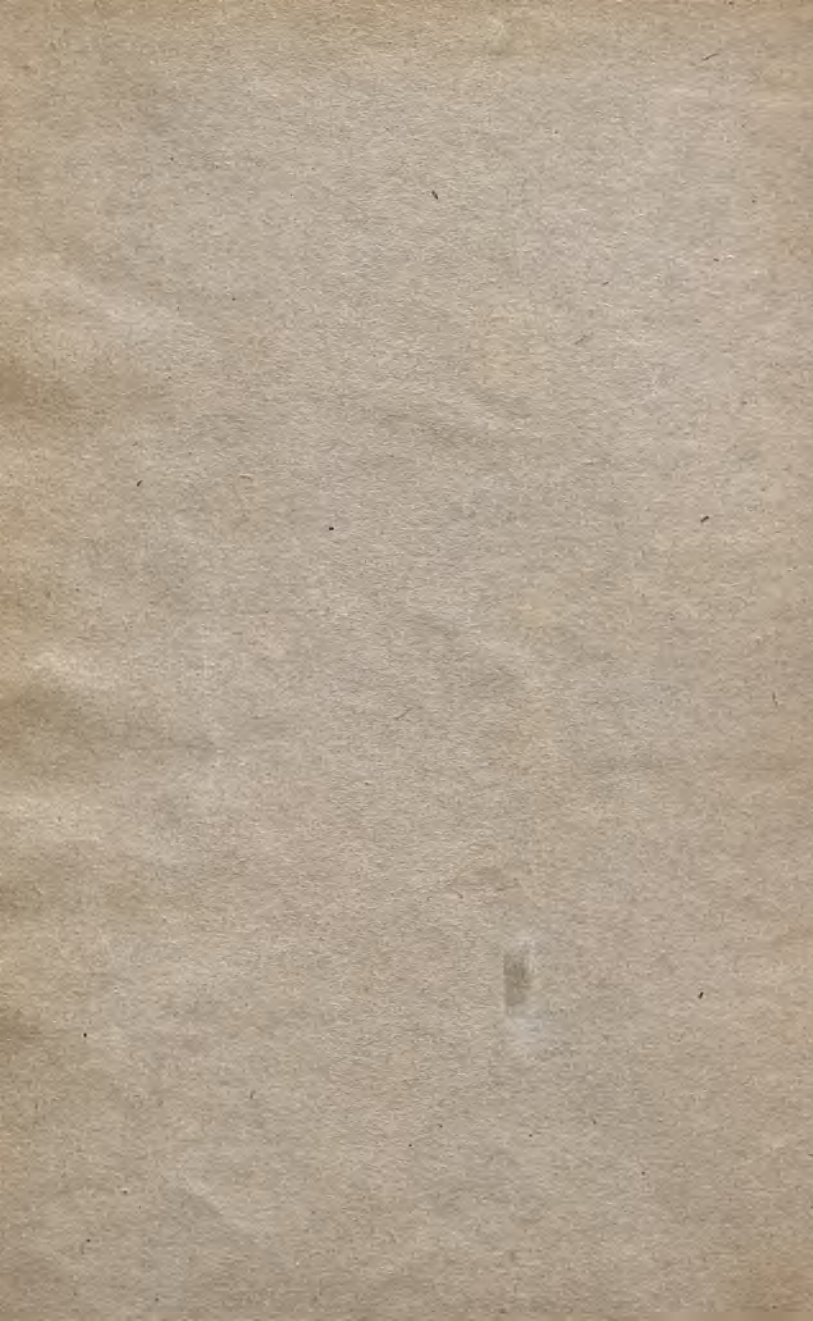




16208/163



Dr. St. Grabski.

SŁOWACY.



WARSZAWA.

W drukarni „Przeglądu Tygodniowego”.

Czysta № 4.

1901.

16208/163

K1.c 6

175956

I

Дозволено Цензурою.
Варшава, 18 Декабря 1900 г.

L. Górka
Bytom, Chłobrego 7/5
6. 11. 634. 10,-



I.

„Spójrzcie na wschód: nie ujrzycie tam ani piramid, ani rzeźb, ani cudnych obrazów i pomników architektury, lecz usłyszycie pieśń, śpiew głosów ludzkich. Jesteśmy słowianie i musimy wszystko wysławić pieśnią, śpiewem, głosem, w sposób najwięcej ludzki i najgodniejszy człowieka. Dla sztuki tej jest u nas i ziemia wyborna a odpowiednia; po górach, po dolinach huczy pieśń słowacka; naród nasz żyje i oddycha poezją; przy każdej pracy, w każdym strapieniu i bólu zwraca on wzrok swój ustawicznie ku wyższym tym sferom, ku tej krainie tak rozmaitej i wspaniałej a tak niezmienniej i spokojnej i patrzy na nią, jakby z doliny na oświetlone zorzą szczyty, bo tam jest dlań spokój, tam światło Boże“. Czy i o ile, zawarta w tych słowach Ludwika Sztura, charakterystyka poezji słowiańskiej

wogóle a słoweńskiej w szczególności, jest trafną — sąd o tem należy do poetów i krytyków literackich. Lecz prawdą jest, że cała treść życia duchowego słowaków przejawia się w ich języku, w ich pieśni. Nie mają oni żadnej niemal tradycyi społecznej i politycznej, nie posiadają odrębnej architektury, nauki; jedynym widomym znakiem ich indywidualności cywilizacyjnej jest ich język, ich poezya. Być może dlatego to właśnie nie tylko poeci i publicyści słoweńscy, lecz i lud uważa się za naród śpiewaków, darem pieśni przed wszystkimi innymi obdarzonym.

„Słowacy, słowacy, wszyscyście śpiewacy,
Jakgdybyście byli družecznemi słowiki

Słowaczki, słowaczki wszystkieście śpie-
[waczki

Jakgdyby was byli anieli uczyli“
głosi piosnka ludowa.

Naród bez historyi, bez tradycyi, bez pomników przeszłości, bez indywidualnej kultury polityczno-społecznej! Czyż naród taki jest możliwy? Ogół słowaków nie uważa się też bynajmniej za naród odrębny. Jedni z nich — i ci są najliczniejsi — czują się być

węgrami, inni mówią o sobie jako o szczepie (kmcicu) słowiańskim, ogół słowian zwąc mianem narodu. A do niedawna, bo do końca lat czterdziestych, t. zw. narodowcy słoweńscy pisali po czesku, język swój za miejscową gwaraę czesko-słoweńskiego języka, uznając.

Niemniej przeto mają słowacy swą odrębną fizyonomię duchową. Istnieje przecież specyalna kultura słoweńska, będąca czemś więcej nad językową tylko odrębność. Nie będąc narodem w całkowitem tego słowa znaczeniu, nie są oni też już szczepem tylko, lecz formującym się powoli, choć niesformowanym jeszcze zupełnie narodem.

Przed przybyciem madyarów do Węgier słowacy wchodzili w skład wielko-morawskiego państwa. Przeszedłszy pod panowanie królów węgierskich, słowacy nie byli jednak narodem podbitym. Oficjalnym językiem za dynastji Arpadowskiej był język słoweński a nie madyarski. Organizacya, którą św. Stefan nadał swemu państwu, wzorowała się raczej na systemie administracyjnym wielko-morawskiego państwa, niż na organizacyi rodowej koczowniczych

madyarów. Wogóle należy powiedzieć, iż do najnowszych czasów nie znajdujemy w historii Węgier żadnego śladu poważniejszego antagonizmu szczepów madyarskiego i słoweńskiego. Boć i tyloкратно opiewany przez słoweńskich poetów Mateusz Trenczański, wystawiony przez północne Węgry na kandydata do tronu magnat słoweński a współzawodnik Roberta I-go, popieranego przez południowe Węgry, walczył nie przeciwko hegemonii madyarskiej, ani też w imię idei słoweńskiej, lecz w imię rodowych swych pretensyj i praw do korony. Zresztą, aż do końca przeszłego stulecia, kultura społeczna i polityczna Węgier nie była ani madyarską, ani słoweńską, lecz kulturą państwa Węgierskiego, na idei autonomii komitatów i przywilejów szlachty opartą.

Jak dalece Węgry nie były państwem narodowem, świadczy o tem absolutne panowanie łaciny w życiu publicznem aż do końca XVIII stulecia. W r. 1792 sejm węgierski uznał język madyarski za drugi obok łaciny język urzędowy. Łacina pozostała wszakże i nadal językiem szlachty węgierskiej a tem samem i rozpraw publicznych.

Język madyarski zdobywał sobie uznanie o tyle tylko, o ile rósł wpływ miast na życie publiczne, o ile zdobywały sobie uznanie prawa ludu, o ile rozszerzały się wśród miarodajnej klasy idee liberalne. Paragrafem trzecim z r. 1836, szóstym z 1840, drugim z 1844 został on stopniowo wprowadzony do wyższych dekasteryj, do izby królewskiej, korespondencyi między świeckimi, kościelnymi i wojskowymi władzami, i t. d. Paragrafy te wotowała nie tylko madyarska, lecz i słoweńska szlachta. Nie oznaczały one też poparcia żywiołu madyarskiego w przeciwstawieniu do słoweńskiego i rumuńskiego, lecz ustępstwo na rzecz prądów liberalnych, złagodzenie różnic, dzielących szlachtę od ludu, przyznanie mieszczan za obywateli kraju. Pierwszym krokiem ku temu było uznanie mowy ludu za język państwowy. A najliczniejsza, najenergiczniejsza i administracyjna, oraz kulturalna centra kraju zamieszkująca część ludu, ludność stolicy i większych miast — mówiła po madyarsku.

Oczywista, że wraz z idejami liberalizmu przenikały do opinii publicznej na Węgrzech jak i gdzieindziej i idee narodowości, naro-

dowego państwa, narodowej cywilizacji. Pieśni Petöfi'ego znalazły oddźwięk w sercach całego węgierskiego narodu. Hasło reformy dawnego stanowego państwa w duchu państwa narodowego, równouprawnienia miast i oswobodzenia włościan, madyaryzacyi urzędów i szkół — łączyły się w jeden amalgamat. Kto przysięgał na jedno z nich, wyznawał i ich resztę.

A słowacy? Szlachta słoweńska a raczej szlachta pochodzenia słoweńskiego, mówiła po słoweńsku jedynie przy ognisku domowym. W rozprawach publicznych posługiwała się nadal łaciną, w towarzystwie, wobec dam, językiem dworu—niemczyzną. Po niemiecku również mówiła inteligencja miejska. Słoweńskim językiem mówił jedynie włościanin, poddany a więc zero w życiu publicznem i mieszczanin biedniejszy, drobny rzemieślnik i kupiec. Rozrzucana wszakże po osadach półrolniczych, jakimi dziś jeszcze są miasta północnych Węgier, masa drobnego mieszczaństwa niewiele się różniła sposobem życia od włościan i nie o wiele więcej od nich wchodzić mogła w rachubę. Jedynie duchowieństwo katolickie i prote-

stanckie, którego naturalną sferą działania był lud, świadomem było swego słowiańskiego pochodzenia. Z jego łona wyszły też protesty przeciwko madyaryzacyi całych Węgier, protesty przeciwko identyfikowaniu kultury narodowej Węgier z kulturą madyarską, żądania równouprawnienia słowian obok madyarów *).

Protesty te musiały pozostać tak długo bez wszelkiego realnego znaczenia, póki ogół słowaków głosu swych literatów i duszpasterzy zarazem, nie poparł. A poprzec go

*) Domolub Horvatowicz: „Sollen wir Magyaren werden“ (1833). Tomasz Vilagoszvary: „Der Sprachkampf in Ungarn“ (1841). Ondrzysław z Prawdomluwic: „Apologia t. j. obrana, kteron se odrodilci, jenz od swe naroduosti slovanske odstupuji, branili chteji, si pak kteri v ni staji, posilniti se mopon“ (1841). Jan Czaplewicz: „Rozimanji o zmad'arowani zeme uherske aneb o Nemad'ara v Uhrich na Mad'ary obracovani“ (1842). S. Hoicz: „Apologie des ungarischen Slavismus“ (1843). Benjamin Prawosław Czerwenak: „Zrcadlo Slovenska“ (1844).

nie mógł, póki głos ten rozlegał się w obcej, choć zrozumiałej mu mowie.

Całe piśmiennictwo słowaków, aż do czwartego dziesięciolecia bieżącego wieku, było, o ile nie łacińskiem—czeskiem. Husyci przynieśli z sobą do ziemi słoweńskiej czeską biblię i czeskie dzieła teologiczne. A osiedliwszy się na północnych Węgrzech po bitwie pod Białą Górą, emigranci czescy czeski język językiem piśmiennictwa religijnego słowaków uczynili, nie tylko protestanckiego, lecz i katolickiego. Z końcem XVIII wieku zjawia się wprawdzie wśród duchowieństwa katolickiego dążność ku zbliżeniu mowy książek do języka żywego. Powstaje więc w r. 1792 pod wpływem Antoniego Bernollaka, autora pierwszego słoweńsko-łacińsko-niemiecko-madyarskiego słownika „Towarzystwo naukowe słoweńskie“, drukujące mieszaniną czeskiego i słoweńskiego książki treści religijnej, moralnej i etnograficznej. Uczeń Bernollaka, ksiądz Holly wydaje nawet poemat świecki: „Świątopełk“, pisany ową zesłoweńczoną czeszczyzną. Duchowieństwo protestanckie trwa wszakże w dalszym ciągu przy języku biblij

kralickiej, przy czeskim. Co więcej, zarówno Kollar, jak i Szafarik, którzy po raz pierwszy, jeden w poemacie „Slawy decra“, drugi w swej „Geschichte der slavischen Sprache und Literatur nach allen Mundarten“, wyrazili myśl różnicy cywilizacji słoweńskiej od madyarskiej, ostro przeciwko próbom literatury słoweńskiej występowali. Kollar i Szafarik chcieli podnieść lud słoweński z położenia językowej grupy węgierskiego plebsu, do stanowiska równoprawnego z innemi szczepu wielkiego narodu. Narodem tym wszakże był dla nich nie naród węgierski a słowiański, którego poszczególnemi szczepami byliby: rosyanie, polacy, czecho-słowacy. Dlatego też oni i ich uczniowie, zwracają się w pieśniach i powieściach swych do wielko-morawskiego państwa i Świętopelka. Oczywiście, że idee i pieśni te nie mogły entuzjazmować ani ludu, któremu w znacznej części i językiem i treścią były obce, ani szlachty, ceniącej nadewszystko swobodę konstytucyjną Węgier, ani liberalnego mieszczaństwa, któremu absolutyzm austriacki się nie uśmiechał a nauka niemiecka więcej prze-

mawiała do duszy, niż księgi słoweńskich księży, martwym językiem, staro-czeszczyną pisane.

Protesty więc duchowieństwa słoweńskiego, skierowane przeciwko madyaryzacyi Węgier, w imię idei słowiańskiej lub wszech-słowiańskiej a nie słoweńskiej, nie znajdowały i znaleźć nie mogły poparcia ze strony ogółu słoweńskiego.

Położenie rzeczy zmienia się dopiero z chwilą, gdy Ludowit Sztur w założonych przez się w roku 1845 „Słoweńskich Narodnych Nowinach“, czysto po słoweńsku zaczął pisać a z nim razem grupująca się koło niego od dłuższego już czasu młodzież, wyszła z liceum presburskiego, gdzie był on przez lat dziesięć docentem. W „Narodnych Nowinach“ Sztur nie tylko wskazywał jak „słowak we własnej swej mowie potrafi coś więcej wypowiedzieć, ponad zachwalanie sit, koronek i wyrobów druciarskich“, lecz—co ważniejsza—formułował żądania słowaków, jako narodu, wchodzącego w skład państwa Węgierskiego. Głos jego znalazł posłuch u wszystkich klas narodu. Zgromadzenia w Św. Mikularzu, Turcu, Zwoleniu,

Górnym Trenczynie, Orawie — w których obok tysięcy ludu przyjmowała gromadnie udział szlachta i inteligencya słoweńska — postanowiły żądać, by obok sejmu ogólnego „braterskich narodów, żyjących pod koroną węgierską“, ustanowione zostały osobne sejmy narodowe i by mowa ojczysta do wszelkich urzędów i szkół została wprowadzona, by gwardya narodowa w północnych Węgrzech otrzymała słoweńską komendę i słoweńskich dowódców, swobody prasy, powszechnych wyborów, uwłaszczenia włościan, i t. d.

Zanim owe „żądania słoweńskiego narodu“ przyszły pod rozprawy sejmu, wybuchła rewolucya węgierska. Sztur, wraz z Hurbanem, Hodzem, Paulinim, powołali lud słoweński do walki z madyarami w obronie praw dynastji habsburskiej. Wśród słowaków nastąpił rozłam. Szlachta opowiedziała się za Kossuthem. Toż samo inteligencya miejska. Również postąpiła i znaczna część dawnych zwolenników staro-czeskiej mowy pisanej. Językiem biblijnym wołał Stefan Lauener: „Musimy wskazać wam na męża, który miłuje was, jak nikt dotychczas. Słowacy!

"Ten to ojciec swobody waszej ma na imię Kossuth." Spór wszakże nie piórem i atramentem miał się rozstrzygnąć. O wyniku jego zdecydował oręż. Ochotnicy słoweńcy zostali w samych początkach wojny rozbici. Hurban, Sztur i Hodža musieli uciekać za granicę. Janko Kral, Andrzej Sladkowicz, Pauliny—poeci słoweńscy, pieśnią zagrzewający lud do walki z madyarami, zostali uwięzieni.

Jedność wśród słowaków nie wróciła i po upadku rewolucyi węgierskiej. Rozporządzenie d. 4 marca 1849 r. ogłosiło równoprawność wszystkich narodowości węgierskich. Lecz oto powstała kwestya urzędowego języka słoweńskiego. Sztur nie zdołał bowiem zadawalniającej ortografii podniesionej przezeń, wzniesć do godności języka literackiego mowy słoweńskiej. O ortografię tę wiodły się spory i dyskusye. Z rozterki tej skorzystał Kollar, powołany do Wiednia na profesora archeologii słowiańskiej. Za poradą jego wprowadził Bach do szkół i urzędów północnych Węgier starosłoweński vel staro-czeski język. W języku tym pisane też były urzędowe „Słoweńskie

Nowiny“, katolickie „Cyryl i Metody“ a wraz z tem i twory literackie katolickiego duchowieństwa. Na stanowisku Sztura pozostały jedynie „Slovenske Pohľady.“ Od 1852 roku zaczął wszakże znowu język słoweński brać górę nad staro-słoweńskim, który w 1857 roku porzucił ostatecznie i katolicki „Cyryl i Metody.“ Równocześnie z tem wzrósł i wpływ idei Sztura, tak, iż gdy został zwołany sejm węgierski, słowacy wystąpili ponownie ze swemi żądaniami. „Memorandum“ ich, ułożone przez Datnera a przyjęte dnia 6 czerwca 1861 r. na zgromadzeniu w Turcu, za zgodą głównych żupanów turezańskiego i liptowskiego komitatu, oraz większości szlachty, nie zdążyło wszakże znowu przyjść pod obrady sejmu, rozpuszczonego 22 sierpnia tegoż roku. Nastąpiło drugie prowizoryum. Słowacy wysłali deputację do Wiednia. Wynikiem jej było wprowadzenie do szkół ludowych i średnich języka słoweńskiego, założenie w Św. Martinie „Maticy Słoweńskiej“, oraz gimnazyów słoweńskich, prywatnych, lecz mających prawo publiczności, w Św. Martinie, Klasztorze i Wielkiej Berucy.

W gimnazyach wychowywała się młodzież słoweńska, „Matica“ wydawała dzieła sztuki i prace naukowe, stworzyła bogate muzeum słoweńskie, zebrała znaczny kapitał na popieranie literatury słoweńskiej, zakładały się instytucje narodowe słoweńskie; banki, kasy oszczędności, stowarzyszenia gospodarcze. W literackich i organizacyjnych tych pracach poczęły coraz żywiej przyjmować udział i sfery świeckie. Literatura, która do 1848 roku była w przeważnej części kościelną a jedynie w poezji dotykała tematów świeckich, poczyną się różniczkować, płynąć liczniejszemi strumieniami a zarazem głębszemi i szerszemi. Powstaje beletrystyka i powieść historyczna (Pauliny Toth, Ludowit Kubani, Samuel Tomaszik, Janko Kalinczak), obyczajowa (Pauliny Zaborsky, Ferienczik, Zachenter, etc.), nowella (Afaffy, Križan), powstaje dramat historyczny (Hostinsky, Zahorsky), filozoficzno - idealistyczny (Podhradsky, Pauliny), komedia obyczajowa (Palarik, Pauliny, Ferienczy, Graichman i inni), rozwijają się początki naukowej wiedzy słoweńskiej i specjalnie historia, lingwistyka, mitologia i archeologia słoweńska z zamię-

waniem jest studyowaną. Większość prac tych wychodziła w wydawnictwach peryodycznych „Letopisy“, „Archiv starych ceskoslovenskych listin, pisemnosti a dejepisnych povodin pre dejepis a literatura Slovakow.“ „Sbornik slovenskijch narodnich piesni, po-vesti, prislovi, poriekadiel, hadok, hier, obycajova povier“. Opublikowaną wszakże została pewna liczba i prac większych, w oddzielnych broszurach i książkach. Były też próby oryginalnych prac naukowych i na innych polach wiedzy: botaniki, geologii, pedagogii. Wreszcie powstały pisma fachowe ogrodnicze, pszczelnicze i rolnicze: „Ovocinar na Slovensku“, „Veclar na Slovensku“, „Hospodar na Slovensku“.

Ten tak bardzo ożywiony i intensywny ruch kulturalny słoweński trwał wszakże zaledwie lat dwanaście. W 1867 r. przyszła ugoda austro węgierska. Węgry otrzymały uznanie całkowitej niezależności państwowej: konstytucją swą wszakże gwarantowały one niemadyarskim narodowościom całkowicie swobodny rozwój kulturalny, uzależniając wprowadzenie do komitatu, dodatkowego języka urzędowego jedynie od żądania $\frac{1}{3}$ wyborców.

Słowacy jednak z prawa tego nie skorzystali. Patryotycznie, w duchu węgierskim, usposobione warstwy, z natury rzeczy nie nadawały się na inicjatorów odnośnych żądań a co grupującej się koło „Narodnych Novin“ inteligencji dotyczy — to ta inicjatywy tej dać nie chciała. Maticę, gimnazya słoweńskie stworzył centralizm austriacki. On też wprowadził język słoweński do szkół i urzędów lokalnych, nieuzależniając faktu tego od żadnych żądań ludności. Narodowcy słoweńscy stali się więc, w przeciwieństwie do reszty słowian monarchii Habsburskiej, zapalonymi zwolennikami centralizmu. Dualistyczną jej konstytucyę z r. 1867 uznali oni za swą krzywdę i nie mając sił dla zwalczania jej, o ile można, ignorowali takową. Tem samem stanęli oni wszakże w ostrem przeciwieństwie nie tylko do elementu madyarskiego, lecz i do tej części słoweńskiego społeczeństwa, co kiedykolwiek w życiu publicznem Węgier czynny udział miały: do szlachty i inteligencji liberalnej. Przytem nie kryli się ani z separatystycznymi swymi tendencyami, z oczekiwaniami pomocy z zewnątrz, z nadzieją, że szczep słowiański wró-

ci wkrótce do macierzystego łona: powszechnego słowiańskiego narodu.

Od północy wicher wieje,
Świat nań się zżyma,
Jeno moje opuszczone
Serce się raduje.

Oj, mnie jest to wietrzyk miły,
Chociaż innym groźny;
Z rodzzonego kraju niesie
Mnie on pozdrowienia.

Matica słoweńska i gimnazya w Martinie, w Klasztorze i Wielkiej Berucy zostały zamknięte w 1874 i 1875 r. z rozporządzenia Kolomana Tiszy. Rząd węgierski począł systematycznie usuwać ze szkół ludowych i urzędów lokalnych język słoweński, suspendując urzędników, głoszących idee „Narodnich Nowin“. Większość zaś inteligencji słoweńskiej, zrażona do „narodowców“, polityce madyaryzacyi nietylko że nie stawiała i nie stawia dziś przeszkód, lecz ją nawet usilnie popiera.

Dwoisty charakter ruchu słoweńskiego po 1848 roku, będącego kontynuacją z jednej

strony idei Kollara i Szafarika o jedności wszechsłowiańskiej, z drugiej: tradycyi, wiedzionych przez sztura i Hurbana bojów przeciwko Węgrom w obronie centralizmu austriackiego, osłabił jego siłę wewnętrzną a zarazem pozbawił realnego gruntu z chwilą, gdy ugoda austro-węgierska przysła do skutku. Tradycja kollarowska mówiła: „nie ten szczep słowiański jest najlepszy, co jest najsilniejszy, najbogatszy — lecz ten, co najsilniej swą solidarność z resztą słowian czuje”—i widziała odrodzenie słowaków w podniesieniu ich świadomości wszechsłowiańskiej; z narodowości węgierskiej, chciała uczynić z nich szczep słowiański. Tradycja szturowska natomiast mówiła: „lud druciarzy, chłopów, kramarzy wędrownych niech się stanie równoprawnym madyarom narodem“, Czy to jednak ulegając mimowoli wpływowi idei kollarowskiej, czy też pod wpływem wypadków 1848 r., nie chciała nie wiedzieć o dualizmie austro-węgierskim; chciała ona równouprawnienia, lecz nie na gruncie węgierskiego, jeno centralistycznego austriackiego państwa. Póki centralizm tego ostatniego panował—stanowisko to było

realne i do realnych prac kulturalnych otwierało szeroko podwoje obiektywnym, skutkiem których było stopniowe podnoszenie się szczepu słowiańskiego, co długie wieki bez własnej historyi i cywilizacji przeżył, do stanowiska równouprawnionego z innemi narodu. Z rokiem 1867 wszakże wróciła dawna sytuacja słowaków, jako składnika państwa i narodu węgierskiego. A wobec tego, naturalny bieg rzeczy musiał pchać w jednym z dwóch kierunków, albo madyaryzacyi całkowitej, albo wytworzenia przez nich narodowej kultury słoweńskiej, równouprawnionej z madyarską i niezbędny składnik ogólnu węgierskiej kultury politycznej stanowiącej. Trzeciego wyjścia być nie mogło — bo cała przeszłość historyczna słowaków w ramach życia państwowego Węgier jest zamknięta. Matusz Trenczański: prezydent do tronu węgierskiego, Kurucy, wojownicy Rakoczy'ego—to jedyne sławne momenty z przeszłości historycznej słowaków.

Inteligencya słoweńska z obozu „Maticy“ i „Narodnich Nowin“, nie umiejąc się zdecydować, czy starać się winna o równouprawnienie narodowości słoweńskiej czy

nad zlaniem się szczepu słoweńskiego z resztą słowian pracować, czy też nad odbudowaniem centralizmu austriackiego się trudzić, hasła której wobec tego pozostać musiały w sferze ogólników, westchnień tęsknych i wyczekiwać „Spasitela”—realne znaczenie w oczach większości słowaków postradała. Sami zwać się „narodowcami słoweńskimi“, ood większości „prepiatemi slowakami“ (przesadnymi słowakami) są zwani. Przeciętny inteligent - słowak uważa, że kto słowakiem chce pozostać — musi być „prepiaty“ i najczęściej madyaryzuje się. Słoweńskim, lecz za wyjątkiem rzadkich okolic bezświadomości swego indywidualizmu kulturalnego, jest dziś tylko lud. Reszta ogółu jeśli nie zmadyaryzowana zupełnie, to madyarońska. Madyaronem zwie się zwolennik madyarskiej kultury państwowej.

Odrodzenie a raczej ewolucya słowaków w kierunku wyższej formy: narodu z indywidualną swą cywilizacją, zapoczątkowane w czwartym lat dziesiątku, zatrzymało się wpół drogi. Od lat dwudziestu nad cywilizacją słoweńską pracuje nieznaczną tylko część inteligencji słoweńskiej. Robi ona,

jak na słabe swe siły i środki, bardzo wiele. Literatura nie zamarła, badania nad przeszłością i kulturą słoweńską nie ustały. I prace te nie dają słowakom spaść napowrót do sytuacji językowej tylko grupy ludu włościan, druciarzy i kramarzy wędrownych. Lecz z drugiej strony, madyaryzacya coraz szybciej postępuje. Większość inteligencji coraz wyraźniej staje się, nie jak przed półwiekiem, węgierską tylko, lecz wprost madyarską; miasta, w znacznej części zatracają swój słoweński charakter.

Przed rokiem powstał w Skalicy tygodnik „Hlas“. Jest to organ młodzieży, co studyowała w Pradze i przyswoiwszy sobie „realistyczną“ filozofię praktyczną Massaryka, wróciła pracować na słoweńskiej ziemi. Hasłem młodzieży tej: moralne odrodzenie ludu słoweńskiego, praca nad ekonomicznym i kulturalnym jego postępem, organizacje gospodarcze, zawodowe, naukowe. „Hlas“, pomimo że jest pierwszym nie literackim a społeczno-naukowym pismem, pomimo wielu braków: niewyrobień literackiego współpracowników, braku sił fachowych, dyletanckiego, niemal żakowskiego charakteru nie-

których artykułów (t. n. historia ekonomii politycznej, na czterech stroniczkach streszczona i błędów faktycznych mimo to pełna), pomimo ostrych napaści nań ze strony zarówno opozycyjnych „Narodnich Nowin“, jak i oficjalnych madyarońskich „Słoweńskich Nowin“, nie upadł—wbrew przepowiedniom—bo rozwija się coraz lepiej. Dowód to, że choć niezawsze szczęśliwie wypowiada (choruje „Hlas“ po części na hyperkrytycyzm), idee „realizmu“, przyjmują się takowe wśród młodszej generacji inteligencji słoweńskiej.

A materyału i sił, dających się zużytkować dla realnej pracy kulturalnej na Słoweńszczyźnie jest znaczny jeszcze zasób, mimo szczerb, za ostatnich lat dwadzieścia wyrwanych. Zresztą, co młodzież słoweńska przeocza, niejedna już pożyteczna praca realna przez starych została dokonana.

II.

Wedle statystyki, cały niemal lud słoweński zajmuje się rolnictwem. Jeśli pod rolnikiem rozumieć będziemy człowieka, mieszkającego na wsi i posiadającego mniejszy lub większy szmat ziemi, w takim razie dane statystyczne odzwierciadlają prawdziwy stan rzeczy. Ludność słoweńska, w olbrzymiej swej większości, jest ludnością wiejską. Miast jest na Słoweńszczyźnie stosunkowo niewiele a większych niema wcale. Tak zwane duże miasta słoweńskie: Trenczyn, Żylina, Św. Martin, Św. Mikulasz, liczą $2\frac{1}{2}$ —7 tysięcy mieszkańców, gdy wieś Turzowka ma przeszło 10,000 ludności. Różnica też między drobniejszymi miasteczkami a wsiami niewielka, co do zewnętrznego ich wyglądu niemal żadna. Najczęściej zbudowane są one w jedną długą ulicę, również jak i wsie słoweńskie. Tylko, gdy te ostat-

nie na całej swej długości, równie są szerokie, ulica miasteczka rozszerza się koło kościoła i w ten sposób powstaje rynek, naokoło którego mieszczą się żydowskie sklepy. Większa ilość żydów a tem samem karczem i trochę rzemieślników, chodzących zresztą, gdy innej roboty niema i do żniwa—oto główna cecha miasteczek, w odróżnieniu od „die-din“ (wsi) słoweńskich.

Niemniej przeto, większość ludu słoweńskiego żyje nie z rolnictwa, albo też żyje zeń w nieznacznej tylko części. Lecz i ci co na roli pracują, pracują więcej na obczyźnie, niż u siebie w domu.

Choć to kraj górzysty, nie brakuje na ziemi słoweńskiej dobrej, urodzajnej gleby. Góry są po największej części przystępne dla uprawy i grunt na nich o wiele mocniejszy niż na północnym, galicyjskim skłonie Karpat. Przytem, wszędzie szerokie doliny, z głęboką warstwą urodzajnej ziemi, w znacznym stopniu czarnoziem. Taką jest w trenczyńskim komitacie dolina poważska, po obu strochach Wagu, na 2—4 kilometrów szeroko się ciągnąca, taką dolina rajecka, od Rajca do Zyliny, taką wreszcie dolina turczańska,

obszerna kotlina, przestrzeń całego niemal komitatu turczańskiego zajmująca.

Góry zaś pokryte są wielkimi lasami: świerkowemi, jodłowemi i bukowemi. Nie brakuje wszakże dębu i modrzewiu, choć świerk i jodła przeważają. A w cieniu drzew dojrzewają w nieprzebranych ilościach maliny, poziomki, truskawki, rosną grzyby wszelkich gatunków, pieczarki i trufle. Polany, liczne i duże, dostarczają znakomitych pastwisk, śmiało z alpejskimi mogących współzawodniczyć. I obok tej tak bogatej flory, równie bogata fauna: zające, sarny, jelenie, lisy, borsuki, luksusy, dziki, niedźwiedzie—w wielkich się chowają stadach. Potoki zaś pełne są pstrągów.

A mimo to, położenie rolnika słoweńskiego jest bardzo ciężkie. Trudno bowiem o gorsze warunki klimatyczne. W początku kwietnia ciepłe, południowe wiatry topią śniegi. Rozpoczyna się wiosna, niemniej ciepła i bujna, niż na południowych Węgrzech a gdy już roślinność się rozwinęła, gdy oziminy podrosły a drzewa owocowe pokryły się kwieciem, koło 10 maja przychodzą znów zimna, z ulewnemi deszczami, nieraz mrozy i śnie-

gi. Rzadki to rok, by oziminy nie wymar-
zły, by mróz nie ściął kwiecica na drzewach.
Rolnik, w obawie, by mu chłód jarzyny nie
zniszczył, nie sieje ich, aż pod koniec maja.
Gdyż zaś jare zboże wzejdzie, nastają rap-
towne upały i susze, trwające do końca lip-
ca, by właśnie z chwilą rozpoczęcia żniw,
słocie i zimnom miejsca ustąpić. Z wyjąt-
kiem też doliny powańskiej, otwierającej się
na dolne Węgry, na Słoweńszczyźnie psze-
nicy niemal nie sieją. Tak np. w całej dolinie
rajeckiej uprawiają takową jedynie w dwóch
majątkach barona Popra i to rokrocznie ze
stratą, oraz włościanie, o ile tego proboszcz
wymaga (prócz roli kościelnej, dostają prob-
szczowie od parafii określoną ilość zboża i pa-
szy, gatunek wszakże zboża nie jest ozna-
czony). Żyto lepiej się rodzi, sieją go jed-
nak stosunkowo niewiele, co parę lat bo-
wiem zdarzy się rok, w którym wymarźnie
doszczętnie, tak, że uprawa jego przedstawia
zawsze pewne ryzyko. Główne zatem źródła
dochodu słoweńskiego rolnika—to jęczmień,
owies i kartofle. A że i jarzyna, późno sia-
na i zazwyczaj źle zebrana, rzadko kiedy
więcej nad trzy ziarna daje, kartofle tedy

są przedmiotem największej troski zarówno większego właściciela (statkara), jak i włościanina (siedlaka). Pod kartofle oddaje się najlepsza rola, najlepiej się pod nie nawozi i rolę obrabia. Że w takich warunkach „biedne je na Horniakach *) gardowstwo“, jak nierzekają słoweńscy rolnicy, nie sposób nie przyznać. Do niedawna znaczną podporą rolnictwa była hodowla owiec na wełnę i bryndzę. Dziś jednak w całym trenczyńskim komitacie upadło ono zupełnie, w turezańskim—upada widocznie i prosperuje jedynie w orawskim i liptawskim, najwyżej położonych komitatach. Główną przyczyną upadku tego jest masowa wyprzedaż lasów.

Do zniesienia pańszczyzny, lasy były wyłączną własnością panów; włościanie dostawali z nich potrzebne im drzewo. A prócz tego, zwyczaj dozwalał każdemu włościaninowi wyrąbać i oczyścić polanę, któraby za pastwisko dla jego owiec służyła, nosząc jego imię. Po roku 1848, gminy włościańskie otrzymały przy nadziale własne lasy. Lasy

*) Horniaki — górne, północne Węgry; Dolniaki dolne, południowe Węgry.

te wszakże zbyt były małe, by w nich stada owiec całej wsi wypaść się mogły. Włóścianie w dalszym ciągu paśli po pańskich lasach, po polanach, w dawnych czasach wyrabanych, uiszczając niewielki czynsz właścicielom. W każdej wsi znajdowało się paru „baców“, pasterzy owiec. Gospodarz taki sam miał zazwyczaj stado z paruset do tysiąca sztuk. Reszta włóścian trzymała mniejszą ilość owiec, rzadkoktóry wszakże miał ich mniej, niż dwadzieścia. Przez zimę każdy gospodarz przekarmiał je we własnej stajni. A z wiosną „bacowie“ z owcami całej wsi ruszali w góry. Codzień pod wieczór ogradzał „baca“, wraz z pomocnikami swymi „wałachami“, miejsce, na którem miały się paść owce. Po dwudziestu czterech godzinach przenośny płot się przesuwał, i t. d., póki polana nie została spasioną, poczem stado przechodziło na drugą polanę, lub też, jeśli trawa już odrosła na najpierw spasionych miejscach, wracało na nie. System ten nietylko służył ku obronie owiec od nocnych wycieczek niedźwiedzi, nietylko ułatwiał pilnowanie stada, by nie rozbiegło się po lasach, lecz jeszcze, co waż-

niejsza, znakomicie podniósł wartość pastwisk, nieustannie użyźnianych, dzięki owemu systemowi, mierzwą owczą.

W ten to sposób przebywał „baca“ w górach, aż do późnej jesieni, pasąc owce, dojąc je i wyrabiając ser. Każdy gospodarz, mający „na szafasie“ swe owce, może brać od bacy ser w potrzebnej mu dla domu ilości. Reszta sprzedaje się co tydzień fabrykantowi bryndzy *), poczem w jesieni, gdy owce wrócą z pastwisk, dochód dzieli się na gospodarzy, wedle posiadanych przez nich ilości owiec dojnych. „Na szafasie“ strzyże też baca, dwa razy w roku, owce. Wełna jednak nie sprzedaje się hurtownie, lecz rozdziela między właścicieli owiec.

*) Baca wyrabia tylko ser—coś w rodzaju twarogu owczego. Ser ten zmielony, przefermentowany, daje bryndzę. Włóścianie rzadkokiedy sami ją przygotowują i to tylko dla własnego użytku. Wyrobem bryndzy na sprzedaż zajmują się „fabrykanci“. Największą jest fabryka parowa Makowieckiego w Rózambergu (komitat lip-tawski).

Każdy bowiem włościanin, posiadający owce, sam (a raczej żona jego) w domu przędzie i tka wełnę na grube sukno, które następnie tylko do „młynu“ dla uwalcowania, za określoną zapłatą, oddaje. Z sukna tego szyje słoweńska włościanka „nohawice“ dla męża i „hunie“ dla tegoż i dla siebie. Zbywającą wełnę kupuje tkacz z miasteczka, wyrabiający „siedlackie“ sukno—a w ostatnich czasach i fabryki. W niektórych wsiach zajmują się tkaniem sukna i włościanie, bawcowie—gdy mają w rodzinie większą ilość kobiet (żen), tak, iż nie zaniedbując rolnictwa, są w stanie utkać więcej, niż im na własny użytek potrzeba. Rzadkokiedy jednak ta przewyżka wynosi więcej, niż sześć do ośmiu „siah“, to jest niezbędnych na jedną gunię sztuk *). Zarobek to więc nieznacz-

*) Na „siachy“ też sprzedają rzemieślnicy po jarmarkach sukno włościańskie. Oczywiście, że na większego „chłopa“ siacha musi być większą, cena jednak pozostaje niezmienną. Wełnę włościanie sprzedają na „wałażskie kamicuje“. mniej więcej 1½ kilo ciężkie kamienie, których zamiast ciężarków używają.

ny, choć robota znakomicie się opłaca. Na „siachę“ idzie bowiem do dwóch „kamieni wałażskich (około trzech kilo) wełny, cena zaś „siachy“ białego sukna wynosi koło czterech a czarnego—koło sześciu reńskich.

Wspólny dochód z sera i wełny zapewniał włościanom słoweńskim, stosunkowo znaczne zyski. Przeciętny udział gospodarza wynosił do pięćdziesięciu reńskich, nie licząc sera i wełny na własną konsumpcję. Baca zaś łatwo mógł parę setek do roku zarobić.

Podobne stosunki trwają dziś jedynie jeszcze w liptawskim i orawskim komitacie, gdzie gminy włościańskie (obce), przeważnie z inicjatywy proboszczów protestanckich, pozakupywały w Zolatach od panów znaczne obszary gór. Natomiast, w trenczyńskim owczarstwo upadło niemal zupełnie. W wielu wsiach niema tam już żadnego „bacy“, w innych „baca“ pasie nie więcej nad setkę owiec i to swych własnych tylko. Lasy bowiem przeszły na własność spekulantów żydowskich. Wspomniany baron Poper i teść jego Hahn, są dziś właścicielami trzech czwar-

tych „hor“ *) trenczyńskiego komitatu. Z masową tą wyprzedażą lasów, szła i rabunkowa ich eksploatacja. Jedynie dalej od dolin położone „hory“, pozostały niewyrąbane. Gorzej jeszcze bodaj zdewastowali lasy drobni manipulanci: pachciarze tartaków gminnych i karczmarze, w małych rozmiarach drzewem kupczący. Każdy bowiem karczmarz na Słoweńszczyźnie (a jest ich w każdej wsi paru), jest zarazem „rolnikiem“, t. j., dzierżawi jakiś mniejszy, czy to kościelny, czy szlachecki majątek, oczywista z przynależnym doń lasem. Rolę odrabiają mu włościanie za wypite na borg szklaneczki, liczba których, w znany i u nas sposób, rośnie z przerażającą szybkością, gdy pijani gospodarze kresek już kontrolować nie są w stanie; tak tedy i rola nienajgorszy dochód przynosi. Głównie jednak dzierżawią ją żydzi wiejscy, ze względu na przynależące do niej lasy, które też trzebią niemiłosiernie. Rabunkowa ta eksploatacja lasów wywołała konieczność tak energicznego prawa leśnego, jakim jest panujące obecnie na

*) Hora—góru porosła lasem.

Węgrzech. Lasy gminne, jak również należące do komposesorów lub do niepodzielonych między spadkobiercami mas majątkowych, zostały oddane pod zarząd inspektorów rządowych, zakładających na polanach nowe kultury i zakazujących przedewszystkiem paszenia na nich statku i owiec. Wszelki zaś las ścięty lub przetrzebiony, musi być zasadzonym natychmiast, przyczem oczywiście paść w nim jest zabronionem. A że za ostatnie lat dwadzieścia, przeszło połowę lasów wycięto, jeśli nie całkowicie, to w części (mianowicie jodły), więc i obszar pastwisk zmniejszył się bardzo. Wędrując lasami trenczyńskiego komitatu, czy to od strony granicy śląskiej i morawskiej, po prawym brzegu Wagu, czy od granicy turczańskiej, czy wreszcie wpoprzek od Rajca do Zyliny, szedłem po największej części wyciętymi „szłogami“ lub nowo-założonemi kulturami, wśród których stare lasy, jak oazy, gdzieś niegdzie sterczały, większemi masami jedynie na szczytach odnośnych pasm gór się koncentrując. Szalaszy też tylko w znacznem oddaleniu od dolin, spotkać można. Absolutne to zmniejszenie się ilości górskich

pastwisk (na które obok wymienionych przyczyn i intensywniejsza gospodarka rol-
na, mianowicie: zaoranie dawnych nieużytków na mniej stromych skłonach gór, złożyła się), może jednak nie tyle się do upadku owczarstwa przyczyniło, co nadmierne podniesienie przez nowych żydowskich właścicieli ceny dzierżawnej pastwisk.*) W lasach Popra cena paszy wypada na jedną owcę przeciętnie 3—4 guldenów (licząc na morgi, 18—20 guld. za morgę). W turczańskim komitacie znajduje się jeszcze nieco więcej lasu w rękach miejscowych właścicieli ziemskich i lasy te nie są tak bardzo przetrzebione. Owczarstwo też stoi nieco lepiej.

Wszakże tam nawet, gdzie owczarstwo stosunkowo kwitnie, włościanin z trudem i biedą wielką z pracy na swym kawałku roli wyżyć może. Ma to dwojaki skutek.

Popierwsze, szuka on zarobku po za do-

*) Ad no'am ekonomistów, dla których każdy przedsiębiorca, właściciel ziemski, lub robotnik, jest tylko nosicielem swej funkcyi ekonomicznej, bez różnicy rasy, kultury, tradycyi, etc.

mem, na obczyźnie. Śmiało nazwać można lud słoweński ludem emigrantów. Emigruje on z Liptawy, Orawy, Witny, na dolne Węgry, gdzie do robót polnych na całą wiosnę, lato i jesień się najmuje, emigruje on z trenczyńskiej stolicy (komitatu), na Dolniaki, oraz do Ślązka, Moraw i Czech, gdzie przy sadzeniu buraków, żniwach i kopaniu kartofli i buraków pracuje, oraz do komitatów środkowych, by przy uprawie i zbiorze cykoryi znaleźć zarobek, emigruje on z Turca do Rosyi, na Syberyę, aż do Władywostoku, jako wędrowny kramarz i kupiec wszelakimi towarami, emigruje on wreszcie po całym świecie, do Szwajcaryi, Niemiec, Francyi, Ameryki, Australii, jako szklarz i druciarnik lub górnik i robotnik fabryczny.

Najcięższym i najgorszym jest los robotnika rolnego, czy to na „Dolniaki“, czy do Czech, Moraw i Śląska chodzącego na zarobki. I najgorszy jest los ich nie tylko pod względem materyalnym, lecz i moralnym. Jakie są prawdziwe ich zarobki, trudno określić, sami oni bowiem najczęściej tego dobrze nie wiedzą. Coś dokładniejszego

mógłby o tem powiedzieć tylko „gazda“, przewódca ich—lecz ten powiedzieć nie chce.

Co wiosny „gazda“ — sprytniejszy i obyty w świecie włościanin—jedzie do dolnych Węgier lub Czech, zawiera tam kontrakty, określające płacę akordową i utrzymanie robotnika i powróciwszy do domu, werbuje w swojej i okolicznych wsiach ochotników. Wedle prawa, zatwierdzonego przed dwoma laty, w kontrakcie powinny być dokładnie określone płace akordowe lub udział w zbiorze, jeśli wynagrodzenie ma być pobieraniem w naturze, następnie cena każdego gatunku zboża, wedle której pracodawca winien, w razie żądania robotników, przypadające na nich udziały odkupić, wreszcie ilość przeznaczonych miesięcznie na głowę: mąki, kaszy, ziemniaków i wódki. Kontrakt winien być przytem podpisany w obecności notaryusza gminnego (przedstawiciela władzy centralnej w gminie), przez każdego z robotników, którym notaryusz powinien kontrakt przeczytać i w mowie słowackiej im wyjaśnić. Niestety, prawo pozostało na papierze. Notaryusze trudu takiego sobie nie zadają. Gazda zbierze jak chce podpisy, a notaryusz kontrakt

zalegalizuje i formie stało się zadość. A że kontrakt jest po madyarsku lub po niemiecku pisany, włościanin słoweński najczęściej dobrze nie wie, za co idzie robić. Na robotach też „gazda“ pośredniczy między robotnikami a zarządem dóbr. On odbiera żywność, on wydaje ją codziennie kucharce, on rozdziela pracę między poszczególnych robotników, on wreszcie, w wielu majątkach, po ukończeniu robót odbiera zapłatę i rozdaje takową robotnikom, — przyczem za pośrednictwo dostaje dwa guldeny dziennie. Gdyby nie konkurencya między gazdami, samowoli ich nie byłoby granicy, tembardziej, że nie kto inny, jeno gazda reguluje rachunki włościan, zaciągnięte przez cały czas trwania robót, w okolicznych karczmach. To też suma, jaką robotnik do domu przywiezie, nietyle od pracowitości, co od większego jego rozgarnięcia zależy. Sprytnego mniej okłamią, niedołęgę więcej. Na ogół biorąc, przynosi jednak słoweński włościanin z Węgier do domu, jako zapłatę za sześć-miesięczną pracę: 40 — 60 reńskich, z Czech do 80-ciu. Niewielki ten zarobek rozejdzie mu się wszakże w pierwszych zaraz

tygodniach na podatki i procenta od długów. A jeśli i co pozostanie gotówki, przepije on ją wkrótce.

Zysk więc włościan z wędrowek tych niewielki a straty bardzo znaczne. Role włościan pozostają źle obrobione, gdyż uprawiają je stare baby, co w domu zostać musiały, wraz z paru zamożniejszymi włościanami, mającymi kilka par koni a którzy za umówionem wynagrodzeniem in natura, pomagają pozostałym we wsi kobietom parcele sąsiadów uprawić i zboże zebrać. Że uprawa w takich warunkach nie jest świetna, rozumie to każdy. Po pierwsze bowiem włościanie, chodzący „do swieta“ na roboty, najczęściej wcale nie mają sprzężaju a tem samem mało posiadają nawozu, podrugie, role, obrobione nie przez właścicieli, obrobione są kiepsko; gorzej znacznie od pańskich, po trzecie, źle uprawione role nie są w stanie wyżywić odpowiedniej ilości statku i coraz gorzej są nawożone (przeciętnie co dziesięć lat), poczwarte, gospodarze, co w domu pozostali, korzystając z nieobecności sąsiadów, wypasają im koniczyny, łąki, przez co tym ostatnim jeszcze gorzej daje się odczuć

brak paszy. W wielu wsiach doszło do tego, że mniej zamożni włościanie a raczej kobiety ich, muszą natychmiast po skoszeniu przenosić paszę do podwórza i przed domem stawiać ją na „osiaki“ (gałęzie świerkowe, ostro zakończone i zabijane w ziemię, na których koniczyna, lucerna i siano stawia się w kupki).

Co gorsza jednak, skutkiem wędrówek tych, upadła strasznie moralność ogólna ludu. „We swiecie“ mężczyźni i kobiety—a idą na robotę już 14-letnie dziewczęta—sypiają w jednej szopie. Rzadkoktóra dziewczyna jeśli nie w pierwszym, to w drugim roku, nie przynosi do domu dziecka. Rozwiązałe, pozbawione wszelkich węzłów rodzinnych życia, potęguje przytem niezmiernie pijaństwo. Norma spożywanego alkoholu wynosi ni mniej, ni więcej, tylko litr wódki. Za pijaka uważa się ten dopiero, kto powyżej normy tej pije. I piją nietylko mężczyźni lecz i kobiety. Na robocie słowak pije nieco mniej. Karczmarz tameczny bowiem, wiedząc, że kundman łatwo może mu się ulotnić, mniej mu kredytuje. A gotówki nie dostaje robotnik przez cały czas trwania ro-

bót. Po przyjściu wszakże do domu, wynagradza on sobie za ten przymusowy post. Karczmy dzień w dzień pełne są wtedy pijanych włościan, których zresztą w chacie jedynie zwada i kłótnia z żoną, uwiadomioną o każdym kroku męża „we świetle“ i których zdane zupełnie na głowę kobiet własne gospodarstwo, mało co już interesuje. Alkoholizm jest prawdziwą klęską słoweńskich wsi, ludność których chodzi na roboty polne do „swieta“. Korzystają z tego tylko żydzi karczmarze, bogacący się nadzwyczaj szybko, wykupujący od włościan ich role, stanowiący dziś, obok szlachty, nawiasem mówiąc, upadającej coraz szybciej, klasę wielkich właścicieli. Przed piętnastu laty karczmarza „siedlak“ nazywał po imieniu, przed czterema laty tytułował go również jak mieszczanina: „mlady panko“, dziś mówi doń: „wielkomożny pan“, albo „pan urodzony“. Charakterystycznem jest przytem wysoce, że—jak mnie osoby kompetentne wszelkich stanów: księża, starsi obywatele wiejscy i starzy włościanie (wyjątkowo nie alkoholicy) zapewniały—pijaństwo przybrało tak zastraszające rozmiary dopiero w ostat-

nich dwudziestu latach, to jest, gdy emigracya stała się masową. O prawdziwości słów tych świadczą zresztą poniekąd szeregi całe znajdujących się w każdej wsi, wałacych się obecnie, ślicznych niegdyś zagród włościańskich. Murowana, obszerna chata, takąż stajnia, obora, stodoła duża, dowodzą, iż przed laty panował tam dostatek. A dziurawa strzecha, pozalepiane papierem okna, niechlujstwo na podwórzu, pustki w stodole i stajni, mówią o obecnem ubóstwie, niemal nędzy.

Jak się o tem w dwóch wsiach komitatu trenczyńskiego: Pozubie i Kunfalwie, przekonać mogłem, gospodarze, co w 70-ch latach owe zagrody wystawili, dorobili się, chodząc na zarobki do Czech wraz z synami. Jeden wszakże dorosły mężczyzna z rodziny zostawał zawsze w domu, gospodarstwo więc nie było opuszczonem. A wychodźcy przynosili z sobą każdej jesieni po kilkadziesiąt guldenów, które na zakup statku, paszy i wogóle ulepszenie rolnictwa, widziane na obczyźnie, bywały obracane. Ci, co najpierwsi poczęli chodzić w dalsze strony na roboty polne, zebrali w ten sposób

stosunkowo znaczny majątek. Gdy jednak wychództwo stało się masowem, gdy alkoholizm tak strasznie się rozszerzył, przeszły i majątki owe do rąk żydowskich. Co ojciec uzbierał, zmarnowali synowie — po największej części, już nie jako robotnicy, lecz jako gazdowie chodzący. Pomimo bowiem znacznych i łatwych zysków, wyjątkowo tylko „gazda“ coś odłoży. Od sympatyj i dowierzania ludu, zależy w znacznym stopniu jego powodzenie. A u ludu tak pijackiego, tylko pijak i wesoły kamrat zaufaniem cieszyć się może. Niepijącego włościanina darzy ogół podejrzliwością i zazdrością. Zwie on go sknerą, nieużyтым i podejrzuwa, że musi mieć coś bardzo złego na sumieniu i boi się po pijanemu wygadać. Więc też każdy gazda gra „gawalira“ i co na okradaniu swych robotników zarobi, przechula w karczmach i „hostincach“ (traktyerniach).

Co prawda, w ostatnich czasach, to jest od jakich czterech lat, zaczęła się w ludzie pewna reakcja. Część gospodarzy przestała chodzić „do swieta“, przekładając zarobek

w domu, niż na obczyźnie. Część to, co prawda, nieznaczna jeszcze bardzo. I rolnictwo cierpi wciąż dotąd na brak sił roboczych. Ceny też pracy znacznie poszły w górę. Parobek (pachołek) pobiera 60 do 100 guldenów, obok całkowitego utrzymania. Furman z końmi dostaje 3 reńskie dziennie i strawne. Robotnik dzienny otrzymuje na wiosnę 50 cent., utrzymanie oraz trzy razy dziennie po dwie deci wódki; w żniwa oraz przy robotach jesiennych—75 cent. i takąż strawę. Pracując zaś „od wiżinku“, dostaje robotnik zboża dziesiąty sнопek, koniczynę lub lucernę ósmy osiak, siana trzecią kopkę oraz ćwiartkę żyta, ćwiartkę jęczmienia, dwa kilo słoniny i trzy kilo soli. Furmanki dostarcza pan. Pozostający w domu włościanin słoweński, może tedy warunkowo więcej zarobić, niż na wychodźtwie.

Obok wolniejszego życia, ciągnie go także, do Czech i na dolne Węgry, fakt otrzymania za jednym razem większej sumy pieniędzy. Obywatele miejscowi wypłacają go dziennie lub tygodniowo. Z tych kilkudziesięciu krajcarów, połowę zabierze żona

na sól, słoninę a gdy rok był zły — i na mąkę jęczmienną. Resztę zaś przepije on łatwo w niedzielę. A czego on nie przepije, przepije żona. O zaoszczędzeniu więc czegokolwiek na zimę, niema mowy. Tymczasem, wracający z wychodźstwa robotnik przywiezie choć tyle z sobą, że może z zarobionych pieniędzy opłacić podatki i procenta od długów a przytem i czas jakiś użyć szacunku karczmarza, poniżonego wobec pijących za gotówkę. Więc chociaż dziś ceny pracy na Słoweńszczyźnie nie są mniejsze, niż na Morawach, Czechach, Śląsku i dolnych Węgrzech, brak robotnika jest znaczny. Do rąbania lasów, budowy dróg żelaznych, antreprenery sprowadzać muszą stosunkowo droższych robotników z Galicyi, Czech i południowych Węgier. A i obywatele mają po największej części służbę zamiejscową.

Bynajmniej jednak nie wszyscy włościanie chodzą „do swieta“ na roboty polne. Niedaleko od Rajca, leży duża wieś Cziczmany. Ludność jej emigruje również na wiosnę, nie do Węgier wszakże, lecz do Austryi, w charakterze wędrownych kramarzy szkła, fajansu i porcelany. Za Żyliną

znów, na prawym brzegu Wagu, znajdujemy druciarskie wsie Rovne i Długopole. A ludność wiejska całej turczańskiej stolicy chodzi do Rosyi z towarem wszelakim. Kupiecka ta ludność włościańska i zamożnością i kulturą swą, stoi o całe niebo wyżej od reszty słoweńskiego ludu. Pierwsze pod tym względem należy się miejsce równianom.

Przeprawiwszy się na promie przez Wag, koło dolnego Hriczowa (pierwsza stacya od Żyliny na południe), wchodzimy w wąską dolinę, w stronę granicy morawskiej, pionowo do Wagu się ciągnącą. Pierwsza, tuż przy początku tej doliny położona wieś, wygląda ani lepiej, ani gorzej od reszty wsi komitatu trenczyńskiego. Błoto po kostki na drodze, wielkie cuchnące kałuże przed chatami, chaty kurne, strzechą kryte. Lecz oto po przejściu dwóch kilometrów — jakbyśmy cudem nad brzegi Rodanu lub Aru, do ziemi Tela zostali przeniesieni. Droga typowa, słowiańska droga, przemienia się w dobrą, szeroką szosę, z porządnymi mostami, o malowanych balustradach, zbudowanych nie z nieobrobionych pni, lecz z bali, deskami przykrytych. Po obu zaś stronach

szosy—łąki skanalizowane. Kilometr jeszcze jeden dalej i otóż pierwsze domy Rownego, samotnie, w dali od wsi stojące zagrody. Domy murowane, o dużych oknach i dachem gontami krytym. Każdy dom ma ganeczek, na którym pną się fasole. Przed domem grządki kwiatów a za niemi sad i ogród warzywny. Z tyłu zaś zabudowania gospodarskie: stodoła, spichlerz i stajnia. Małe są te zabudowania, bo i mało w Rownem gruntu; dolina wązka a góry strome; lecz porządnie utrzymane, świadczą niemniej o dostatku. W samem Rownem znaczna część domów, mianowicie starych, drewniane. Lecz wszędzie okna duże, w oknach firanki zawieszone i doniczki z kwiatami ustawione. Około chat czystość wielka; gnojówek w podwórzu nie widać. Zwyczajem szwajcarskim, nawóz w polu układa się w sterty; przytem przed każdą chatą ogród i sad po kilkadziesiąt drzew: śliwek i jabłoni liczący. Co jednak najmilej ze wszystkiego oko przybysza zadziwić musi—to wielkie szkoły murowane, na obu końcach wsi się wznoszące.

Kurnych chat, oczywiście, w Rownem niema,

z wyjątkiem jednej, z XVI wieku jeszcze pochodzącej, jak o tem świadczy data, wyrznięta na framudze drzwi. Zewnętrznemu wyglądowi wsi odpowiada i wewnątrz domów włościańskich, z jednego lub dwóch mieszkań się składających. Każde mieszkanie ma najmniej dwie izby. Pierwszą, wielką, służy za kuchnię i jadalnię. W rogu olbrzymi piec murowany, z blachą i „trubą“ dla pieczenia chleba, około ścian ławy, oraz skrzynia, t. zw. „truchła“. Niegdyś były one malowane w zielone i czerwone kwiaty i koguty. Widać je jeszcze w paru domach. Nowy zwyczaj nakazuje wszakże, by były politurowane z jesionowego drzewa, z odmykającym się płaskim wiekiem u góry i szufladą u dołu. Na ścianach obrazy, przeważnie oleodruki, jakie po jarmarkach w Niemczech i Szwajcaryi się sprzedają: sceny z polowań, portrety panujących, i t. p. Gdzieniegdzie spotkać się także można jeszcze z Janosikiem w gronie „zbojników.“ *)

*) Obrazek ten podawał niegdyś warszawski „Tygodnik Ilustrowany“, przy opisie Tatr, bodaj że Witkiewicza jeśli mnie pamięć nie myli.

Nad piecem półki z garnkami i misami polewanemi i zdobionemi kogutami, mniej, lub więcej stylizowanemi. Parę stołków i zydlu, oraz wisząca lampa, dopełniają umeblowania. Druga izba mniejsza, jest już całkiem nowomodna. Łóżka wysoko zasłane pierzynami i przykryte kapami, szafy jedna na ubranie, druga oszklona na szklanki, kieliszki, talerze, półmiski, komoda i kanapa ceratą kryta, z wysokiem oparciem, obramowaniem drzewem. Wszystkie meble z jesionu, robione na obstalunek, przez stolarzy sąsiedniego miasteczka: Biczu. Styl ich zupełnie odrębny, przypomina dość Luis XV, ma jednak zarazem i piętno miejscowe. Na komodzie pełno drobiazgów ze szkła i fajansu, figurek mniej więcej zabawnych, różnokolorowych szklaneczek i kubeczków. Zegar ścienny i lustro nad komodą zawieszone—otaczają girlandy sztucznych kwiatów, wyrobu domowego. Wreszcie podłogę przykrywają dywaniki, widocznie kupowane w bazarach, t. zw. gobeliny; do których i drobny mieszczanin zachodu, specjalną ma predykcję. Czystość w izbach panuje wielka. O szóstej z rana rzadko gdzie nie jest jesz-

cze uprzątnięte i podłoga izb nie lśni białością. Porządkiem, zamiłowaniem czystości stoją równianki wyżej nawet od szwajcarskich włościanek. A i pracowite są one nad wyraz. Cała bowiem robota nietylko koło domu, lecz i w polu, na ich głowie spoczywa. W Rownem mężczyzn niemal się nie widzi. Wszyscy chodzą do „swieta“ drutować.

Przeczytawszy słowa powyższe, pomyśli niejeden czytelnik: jakto, więc ten biedny druciarczyk po podwórzach Warszawy wykrzykujący „garnki drotował“—to zamożny włościanin, pozwalający sobie na luksus, o jakim się naszemu włościaninowi nie śni nawet. Przed trzydziestu laty równianie w samej rzeczy z pękiem drutu i tygielkiem po dworach, miasteczkach i miastach naszych chodzili, garnki drutując, rądle pobielając. I byli to znani nam biedni druciarze. Dziś wszakże mają oni swe fabryki i sklepy w Warszawie, Wrocławiu, Zurychu, St.-Gallen, Lozannie, Paryżu, New-Jorku, Chicago, Konstantynopolu, Petersburgu, Odessie. Człowiek co podstawy dobrobytu ich założył, żyje jeszcze i mieszka w Rownem, czczony od

całej wsi, jako patryarcha i moralna głowa gminy.

Za młodu drutował on garnki jak inni. Zapragnąwszy jednak zwiedzić szerszy świat, dostał się do Ameryki.

Stąd go też zwał równianie równiańskim Kolumbem. W Ameryce wszakże tradycyjne jego rzemiosło nie popłacało. Zaczął więc, zamiast drutem popękane naczynia kuchenne naprawiać, z drutu nowe przedmioty wyrabiać, aż wpadł na myśl plecenia koszyków na chleb, bilety wizytowe, i t. d.; otaczania drewnianych tac drucianą koronką, robienia z drutu pudełek i tym podobnych drobiazgów. Inwencya opłacała się dobrze. Wkrótce zatrudniał on już kilkunastu robotników-chłopców z Rownego. Ci wyuczywszy się rzemiosła i zebrawszy nieco grosza, sami na swą rękę poczęli pracować, osiedlając się w różnych miastach Europy, Ameryki i Australii. Przemysł doskonalił się, zwiększone dochody pozwalały na używanie coraz lepszego materiału, drutu niklowanego, podstaw majolikowych. Wyrób, wulgarny początkowo, nabierał estetyczniejszego nieco wyglądu. Zgrabniejsi i sprytniejsi z pośród

rownian, dorobili się kapitałów dość znacz-
nych, bo kilkadziesiąt tysięcy reńskich wy-
noszących i pozakładali wspomniane wyżej
fabryki, w których obok właściwych wyro-
bów z drutu, produkują się dziś i naczynia
blaszane i pobielane, samowary, i t. d. Za-
den jednak z rownian nie sprowadził rodzi-
ny swej zagranicę. Rok, półtora roku pra-
cuje on na obczyźnie, by po upływie termi-
nu tego na parę tygodni lub miesięcy do
domu powrócić i znów w świat powę-
drować. Wzruszające jest to przywiązanie
słowaka do ojczystej jego ziemi. Za grani-
cą zdobywa on dostatek, bogactwo nawet,
w domu płaci jedynie podatki i służbę woj-
skową odsługuje. A jednak, wstępując na
granicę swej gminy, po rocznej lub dłuższej
nieobecności, klęka, modli się ze łzami roz-
rzewnienia do Boga, dziękując Najwyższemu
za powrót w progi ojczyste—i ziemię, tę
nieurodzajną, nie będącą w stanie go wyży-
wić, całuje. Pozostaje on też, niezależnie od
stopnia zdobytej zamożności, włościaninem,
członkiem gminy, sąsiadem, rownianem. Ja-
kiegokolwiek zróżniczkowania stanów, nie-
ma śladu nawet. Istnieją tylko zamożniejsi

i mniej zamożni, szczęśliwsi i mniej szczęśliwi druciarze równiańscy. Kto z nich zebrał większy kapitał i założył fabrykę, temu sąsiedzi powierzają synów, by u niego, jako robotnicy pracując, rzemiosła i handlu drobnego się nauczyli. Płacę pobierają ci ostatni niewielką, lecz mieszkając u „gazdy“ i dostając od niego całkowite utrzymanie, niewielkie też mają wydatki. „Gazda“ zaś stara się ich naprawdę rzemiosła nauczyć. Po paru więc latach służby, niemal każdy jest w stanie na własną rękę zacząć pracować. I rzadko któremu się nie poszczęści. Solidarność bowiem wielka wśród równian panuje. Gazda druciarski z Rownego nie zatrudnia innych robotników, jak tylko słowaków, przedewszystkiem zaś równian. A gdy który z robotników jego na własną rękę zaczyna pracować, on mu zawsze potrzebnego na początek kredytu udziela. Wspomagają się też chętnie i gazdowie nawzajem. Rzeczywiście, kredyt nie jest tani; gotówka w ręku przedsiębiorczego druciarza zbyt wielką ma dlań wartość, by mógł ją na niski procent pożyczać. Natomiast jednak dłużnik otrzymuje wszelkie możliwe ustępstwa

odnośnie do terminu spłaty kapitału i procentów. A w ten sposób—ów sąsiedzki kredyt de facto taniej go znacznie kosztuje, niż gdyby musiał u żyda lub na weksel w instytucjach kredytowych pożyczać.

W ślady Rownego wstępuje i Długopole, w sąsiedniej dolinie leżące. Ludność długopolska nie doszła dotąd jeszcze do tej zażyłości, jaką widzi się w Rownem. Znajduje się ona już wszakże na dobrej drodze. Za przykładem więc Rownego zaprzestali i długopolcy pić wódkę i postarali się usunąć żydowskie karczmy ze wsi. Ich miejsce zajęły chrześcijańskie traktyernie (hostince), w których z alkoholycznych napojów dostać można piwo, wino, borowiczkę*) i śliwowicę. Lecz obok tego i kawę, herbatę, mleko oraz gorące jedzenie a na jednym ze stolików w rogu izby, którą śmiało i salą nazwaćby można, leżą roczniki czeskich pism ilustrowanych i numery pism słoweńskich: „Opravdivy Krest'an“ „Wlast'a Swiet“ „Slovenske Noviny.“ **)

*) Borowiczka—wódka pędzona z jałowca; posiada prawdziwe zalety lecznicze.

**) Są to przezrząd wydawane lub subwencyono-

Mniejsze okoliczne wsie dostarczają niższej kategorii druciarzy, umiejących jedynie drutować garnki, misy, talerze, pobierać łąki i robić łapki na myszy. I tam znajdzie się naprawdę „gazda,” któremu na wyższy szczebel wybić się uda. Najchętniej jednak przenosi się on wtedy do Rownego, czy to sam z równianką się żeniąc, czy też syna swego w Rownem ożeniwszy.

Pod względem zamożności niewiele może ustępować wspomnianym wsiom druciarskim Cziczmany, ludność których zajmuje się drobnym handlem roznosicielskim: porcelaną, fajansami, w Austrii i Tyrolu. Część towaru zakupują cziczmany w sąsiedniej hucie: Zlichow, przeważnie jednak w Wiedniu. I tu ścisłych granic między przedsiębiorcą a robotnikiem nie ma. Choć bowiem paru gospodarzy bogatszych od ogółu, z towarami osobiście nie chodzi a jeno utrzymuje w Wiedniu magazyny, w których się cziczmanicy prowadzą, choć nawet Cziczmany posiadają swego

wane pisma madyarońskie. Innych w traktyerni właściciel pod karą odebrania koncesyi trzymać nie śmie.

domorosłego bankiera w osobie włościanina Hamali, paręset tysięcy kapitału posiadającego — to jednak życie ekonomiczne wsi, raczej obszerną asocyację, niż hierarchiczny system przedsiębiorstw przypomina.

Roznoszący po wioskach i miasteczkach towar, biedniejsi włościanie nie są najemnikami właścicieli magazynów, lecz ich pomocnikami. Biorą oni z magazynu towar na kredyt, po cenie zakupu i dopiero wróciwszy po paru miesiącach z wędrowki, obliczają się. Nie rozprzedany towar magazyn odbiera z powrotem. Za sprzedany zaś zwraca się najsamprzód cena zakupu magazynowi, poczem pozostały zysk dzieli się między właścicielem magazynu a roznosicielem, przeważnie w stosunku 1:2. Ze swej strony, właściciele magazynów „gazdowie“, biorą na zwiększone zakupy od Hamali pożyczki, które po ukończeniu roku handlowego, wraz z umówionym udziałem w zysku zwracają. Oczywiście, iż przejście od jednej kategorii do drugiej, nie jest w podobnych warunkach zbyt trudnem. O powodzeniu decydują przedewszystkiem właściwości indywidualne.

Również jak rownianie i długopolcy, wracają cziczmancy co rok do domu na parę tygodni lub miesięcy, zależnie od tego, jak im się w „swiecie“ wiodło. Żenią się też wyłącznie z cziczmankami.

Z handlu roznosicielskiego i kramarstwa, żyje też cała ludność włościańska komitatu turczańskiego. Chodzi ona z towarem do Rosyi. Niegdyś głównym terenem operacyj ich było Królestwo. Lecz rozwój dróg żelaznych, wzrost ekonomiczny naszych miast prowincjonalnych i miasteczek, kazał im emigrować więcej na Wschód. O ile handlują oni w Królestwie, organizacya ich identyczną jest z posiadaną przez cziczmannów. Do Królestwa chodzą wszakże tylko biedniejsi turczanie. Są to tak zwani u nas węgrzy, ze skrzynią na plecach po wsiach i dworach naszych wędrujący. Zamożniejsi udają się na Ukrainę, w głąb Rosyi a nawet na Syberyę. W Kijowie, Berdyczowie, Petersburgu, Moskwie i Władywostoku — mają oni największe swe magazyny. W nich zaopatruje się „gazda“ we wszelaki towar i naładowawszy takowym parę wozów, wyrusza w podróż. Każdy wóz idzie inną drogą. Co

parę miesięcy wozy zbierają się w oznaczonych miejscach i odbywa się obrachunek, wedle tegoż systemu, jaki i wśród cziczmanów jest praktykowany. A gdy cały towar zostanie rozprzedanym, karawana wraca do miejsca, z kąd wyruszyła. Przewódca i entrepreneur ekspedycyi, gazda jej, obrachowuje się z magazynem, by na parę miesięcy wrócić do rodzinnej swej wioski, w turczańskiej kotlinie.

Oczywista, im kultura kraju jest pierwotniejszą, tem handel idzie lepiej. To też turczanie przenoszą z każdym rokiem sferę działalności swej coraz dalej na wschód. I nie dziwnego. Walki konkurencyjnej ze sklepami i regularnym handlem wogóle, nie są w stanie oni podjąć. Natomiast, gdzie komunikacye są odległe, przestrzenie wielkie, ruch ludności nieznaczny, kupiec turczański staje się nie tylko pożądanym liwerantem, lecz i miłym gościem. Obok towarów, potrzebnych dla domu i gospodarstwa, przywozi on z sobą różne ciekawe zagraniczne, nowomodne „sztuki“ i nowiny ze świata. W Królestwie—mówią turczanie—kupują jedynie chłopcy i służba dworska, w Rosyi na-

tomiast, byle kredytować, pan we dworze nakupi różnych „pletek“ (głupstw) i na paręset rubli—a do tego przekarmi kilka dni i mile ugości, od służby zaś za parę kopiejek dostanie się i worek owsa. Żyje się bez wydatków a zarabia dobrze. Że zarobki w rzeczy samej muszą być bardzo znaczne, dowodzi fakt, że w banku „Tatra“ w Św. Martinie, oraz w kasach oszczędności tureczańskiego komitatu, suma kapitałów włościańskich — wedle życzliwie udzielonych mi cyfr przez p. Kompisa, głównego kasyera banku „Tatra“—wynosi przeszło trzy miliony guldenów.

Są to jedynie oszczędności, do domu odnoszone, kapitalizowany dochód netto. Niezawodnie zaś nietylko kapitał, znajdujący się w obiegu w Rosyi, lecz i część czystych zysków, na rozszerzenie handlu obracana, o wiele sumę tę przewyższa. Rzadko bowiem który „turczan“, o ile żona zbyt wielkich zbytków nie robi, począwszy od służby u gazdy, po kilkunastu latach, sam się gazdą nie stanie a wielu nawet i do posiadania sklepu dochodzi.

Zarówno jak wśród druciarzy i handlarzy

szkłem i porcelaną, tak samo i wśród kupców turczańskich, wyraźnej dyferencyacji stanów nie widać. Charakter ich organizacyi handlowej, na podziale zysków opartej, głównym czynnikiem powodzenia robi indywidualne właściwości osobnika. Różnice majątkowe w dwóch, trzech generacyach, wyrównywują się zatem zazwyczaj. A że przysiętem przejście od niższych do wyższych funkcji, jak również zebranie znacznych nawet oszczędności przez osoby od najniższych funkcji zaczynających, jest jaknajzupełniej możliwe i na ogół, w rzeczy samej, ma miejsce, więc kapitalizacya i asymilacya dochodów, dobrobyt powszechny a nie poszczególnych tylko jednostek podnosi.

Zasadniczo różny charakter przejawia wychodźstwo do Ameryki, na roboty w fabrykach i kopalniach. A o ile słowacy do Ameryki emigrują, z wyjątkiem druciarzy, szukają tam oni zatrudnienia i zarobku w fabrykach i kopalniach. Farmerów-słowaków prawie że niema. Nie stara się też słowak w Ameryce o stalsze zajęcie, o założenie na własną rękę przedsiębiorstwa. Jeździ on tam bowiem na możliwie krótki przeciąg

czasu, by sprzedać jaknajdrożej swą pracę. W każdej wsi znaleźć można paru „amerykanów“. Małorolny włościanin, lub obciążony długami, by dokupić sobie roli, albo z długów się wydobyć, o ile nie jest nałogowym pijakiem (niestety, rzadko to ma miejsce), emigruje na lat parę do Stanów Północnych i żywiąc się jaknajgorzej, pracuje od rana do nocy, podejmuje się najcięższych robót, by zebrawszy potrzebną sumę, wrócić do domu. Zazwyczaj amerykańczak taki, spłaciwszy długi, pozostaje już na zawsze w domu. Wpływu pobytu w Ameryce wszakże na nim nie znać. Inteligencyą ani obyczajami nie wyróżnia się on od reszty włościan. Przeważna jednak liczba emigrantów amerykańskich ze Słoweńszczyzny, rekrutuje się w odmienny sposób. Tak jak istnieją druciarskie, szklarskie, kupieckie wsie i okolice, tak samo istnieją i amerykańskie wsie. Między innemi, amerykańską wsią taką w trenczyńskiej stolicy jest Hryczów, w dolinie Poważskiej, koło Żyliny. Ludność jej chodzi na stałe zarobki do Ameryki, gdzie przeważnie w garbarniach pracuje. Czas pobytu na wychodźstwie trwa od

roku do trzech lat, potem emigranci wracają na rok lub dwa lata do domu, aby znów po zarobek za ocean jechać. W Ameryce życie ich mało czem różni się od życia innych robotników emigrantów. Posiadają oni tam, również jak i polscy wychodźcy, towarzystwa swe, na podstawie ubezpieczenia od choroby i śmierci oparte, służące jednak zarazem narodowym i religijnym celom. Stowarzyszenia te wszakże nie są dotychczas zcentralizowane. Od polskich i innych wychodźców, różnią się wszakże słowacy tem, że nigdy prawie nie osiadają w Ameryce na dłużej i rodzin swych nie sprowadzają do niej, ani się też na emigracyi żenią, tembardziej, że emigrują sami niemal mężczyźni. Domy w Hryczowie murowane, stosunkowo czystość przed nimi i na ulicy, brak zupełny kurnych chat, każe się domyślać większego dobrobytu i większych cywilizacyjnych potrzeb ludności, niż w czysto rolniczych wsiach. Niemniej przeto ks. Czajda, proboszcz tamtejszy, od wielu lat usilnie nad podniesieniem obyczajowości swej parafii pracujący, z żalem przyznaje, że walka z karczmą stała się wprost

niemożliwą i niesposób ludu z materyalnej i moralnej zależności od karczmarza uwolnić. Część zarobionych i zaoszczędzonych ceną największych prywacy w Ameryce pieniędzy, idzie na ulepszenie zagród i gospodarstw, lecz znacznie więcej zostaje przemarnowaniem w karczmie. Włościanin, po powrocie do domu, póki mu gotówki starczy, paradytuje ubrany z pańska i wesoło z kamratami czas spędza. Produkcyjnie zostaje zarobek jego o tyle tylko zużyty, o ile go częściowo z Ameryki żonie przysyła.

III.

„Kto czytał Rzewuskiego „Pamiętniki starego szlachcica litewskiego“, Chodźki „Pamiętniki kwestarza“, Mickiewicza „Pana Tadeusza“ a przeczyta Janka Kalinczaka „Restaurację, obrazki z niedawnej przeszłości“, tego zadziwi podobieństwo polskich i słoweńskich postaci szlacheckich; szlacheckie te typy to jedna rodzina“ — pisze Jarosław Wilczek w swej historyi literatury słoweńskiej.

Dziś pokrewieństwa tego trudno byłoby się dopatrzeć. Ale bo też ekonomiczne i społeczne warunki życia naszej a słoweńskiej szlachty różnią się zasadniczo. Przedewszystkiem, rozmiary dóbr szlacheckich na Słoweńszczyźnie są znacznie mniejsze, niż w Polsce. Obok wielkich latyfundi, stanowiących własność magnatów, na lato tylko do posiadłości swych zjeżdżających i żadnego udziału.

łu w miejscowem życiu nie przyjmujących, magnatów, czysto madyarskiego pochodzenia, czy też zupełnie zmadaryzowanych—istnieją niemal tylko drobne bardzo mająteczki szlacheckie 60—300 jochów liczące. Jedynie koło samego Trenczyna znajdują się średnie posiadłości, składające się z jednego lub paru folwarków do 1,000 jochów. Na ogół więc szlachta słoweńska z trudem tylko z roli swej wyżyć może, tembardziej, że najczęściej połowa mająteczku stanowi zdewastowany las a role rozrzucone są nieraz po paru wsiach.

Rozdrobnienie to posiadłości szlacheckich źródło swe ma przedewszystkiem w obyczajowo przyjętym systemie działów spadkowych, jakby specjalnie na zagubę większej własności wymyślanym. Majątek ojca dzieli się między wszystkie dzieci, synów i córki, lub wnuki „absolutnie sprawiedliwie“. Dzieli się więc rola każdej klasy na tyle części ilu jest spadkobierców, w ten sam sposób łąki, pastwiska, nieużytki, lasy. Dzieli się także i kapitał ruchomy a nawet meble, ubrania, bielizna stołowa, srebro, itd. Jedynie zabudowania sprzedają się z licy-

tacy, przycze mczasami kupuje takowe jeden ze spadkobierców, czasami zaś i obce osoby. System ten, trwając od wieków, rozbił też od wieków stopniowo majątki szlacheckie na coraz drobniejsze parcele, wywołując jednocześnie coraz większe zamieszanie we własnościowych stosunkach. Mąż otrzymywał po ojcu w swojej wsi kilka lub kilkanaście parceli, po matce tyleż w innej a żona jego również w ten sam sposób otrzymywała po rodzicach kilkanaście, w różnych „hotarach“ leżących pólek. Oczywiście, iż skutkiem tego następowały niezliczone akty kupna, sprzedaży i wymiany między sąsiadami i krewnymi, oraz niezliczone procesy spadkowe i graniczne. Całość fortun swych ratowały po części szlacheckie rodziny, przeznaczając jednego lub więcej synów do stanu duchownego. Ksiądz otrzymywał coprawda dział swój na równi z resztą rodzeństwa. Lecz po jego śmierci wracał majątek znów do rodziny. A przytem, mając dochody z probostwa lub biskupstwa (nawiasem mówiąc bardzo znaczne wobec olbrzymich majątków kościelnych) wydatki zaś mniejsze, pozostawiał rodzeństwu w spadku dość znaczne ka-

pitały. Pomimo jednak takich i temu podobnych środków zaradczych, rozdrobnienie własności większej posuwało się coraz szybciej i po zniesieniu pańszczyzny w 1848 r. przybrało przerażająco szybkie tempo. Dziś więcej niż połowa szlacheckich majątków stopniała zupełnie i albo została rozparcelowaną powoli wśród włościan, albo skupiona przez żydowskich spekulantów lasami, którzy dla wejścia w posiadanie tych ostatnich, kupowali i kupują i przynależną do nich rolę, by odprzedać ją następnie karczmarzom i różnym wiejskim spekulantom. Reszta, co pozostała w ręku szlachty, to drobne, mało co większe od włościańskich, parcele, jak już powiedziałem, rozrzucone nieraz i po paru hotarach. Rzadko kiedy ilość posiadanej przez szlachtę roli ornej przewyższa 100 jochów a często nie dosięga i 40-tu. W górnej części trenczyńskiego, w liptawskim, i orawskim komitacie, większość wsi jest już czysto włościańskich. Pono od kilkudziesięciu lat zastąpił w nich „żydok“. W reszcie zaś hotarów siedzi po kilku lub kilkunastu „wielkomożnych“.

Nieco lepiej trzyma się własność szlache-

ka tylko w komitacie turczańskim, skąd drobna, zaściankowa szlachta na równi z włościanami chodzi z towarami do Rosyi a zebrawszy tą drogą nieco większy kapitał, chętnie z „ziemiańskimi“ rodzinami się koligaci. Lecz i tam własność szlachecka jest tak dalece rozdrobnioną, że szlachta wyżyć z rolnictwa nie jest w stanie. To też wogóle, niechętnie pracuje ona w roli. Kto tylko może oddaje majątek żydowi w dzierżawę a szuka służby rządowej. A kto nie ma dostatecznych kwalifikacyj na „służnego“ *) stara się otrzymać chociażby pocztę, czy posadę notaryusza wiejskiego, opiekuna nad sierockimi majątkami, rychtara, i t. d. Jedyną zaś ku temu drogą jest... protekcyja.

Na Węgrzech po dziś dzień utrzymała się całkowita autonomia komitatów w starodawnej jej, że tak powiemy, średniowiecznej formie. Głównego żupana mianuje ministerjum. Na tem wszakże ogranicza się cały wpływ

*) Służnymi zwą się urzędnicy okręgowi: główni słuźni—naczelnicy administracyjni okręgu; słuźni polityczni—naczelnicy okręgowi; słuźni jurydyczni—sędziowie okręgowi.

rządu centralnego na lokalną administrację. Wszelkich bowiem urzędników komitetowych i okręgowych mianuje żupan i od decyzji jego nie ma apelacyi. Urzędników zaś gminnych choć wybiera gmina, to jednak zatwierdza ich żupan. Wreszcie o wszystkich instytucjach, w obrębie komitatu istniejących, o ile budżet ich na komitacie ciąży, sejmik komitetowy decyduje samodzielnie a w porozumieniu z ministeryum o ile stanowisko ogólnie państwowe instytucye i jak np. poczta, pod bezpośredniem kierownictwem ministeryum znajdować się muszą.

Gdy do tego weźmiemy pod uwagę, że prawo wyborcze do sejmików komitetowych jest ograniczone wysokim cenzusem, jako też, że organizacya komitatów identyczną niemal dziś jest z istniejącą przed 1848 r., że zachowała ona bez żadnych prawie zmian swe tradycyjne cechy — zrozumiemy z łatwością, iż polityka komitatów z konieczności rzeczy musi być polityką rządów, o wpływ i honory walczących. Programy, zasady nie odgrywają tu żadnej roli. Wyborcy komitatowi dzielą się poprostu na stronników tego lub innego rodu, tak jak to i w naszych

„ziemiach“ niegdyś miało miejsce. I jak u nas za Rzeczypospolitej, magnat otaczał protekcyą swych stronników a szlachta fortuny szukała, służąc interesom jaśnie wielmożnego, tak samo i dziś na Węgrzech, przedewszystkiem zaś w północnych górskich komitatach, „familie“ o pierwszeństwo w komitacie walczące, protekcyą starają się przywiązać ku sobie jaknajwięcej wyborców a ci bezwzględnem popieraniem interesów „familii“ na protekcyę jej zasłużyć.

Pod tym to względem dzisiejszy „ziemian“ słoweński nie różni się niczem od swego dziada i pradziada i od pokrewnego tym ostatnim typu polskiego szaraczkowego szlachcica. Lecz gdy w owych czasach sejmików, najazdów, nieustannych potrzeb wojennych a przedewszystkiem stanowej szlacheckiej rzeczypospolitej—ów system protekcyi w naturze rzeczy leżał, dziś w państwie liberalnem, kapitalistycznym, stanowi on anomalie i pacyz charakter. Drobnny szlachcic słoweński na ogół, patrzy na rolę z pewną pogardą, miłości ku niej niema u niego ani śladu; o gospodarstwo stara się on niewiele—z góry wie bowiem, że rola go nie wy-

żywi. Byle zebrał dość dla przekarmienia siebie i służby — o więcej mu nie chodzi. Inne wydatki powinna pokryć służba. Najchętniej też wobec tego, otrzymawszy jakie pobierne źródło dochodu: notaryat, pocztę czy rychtarstwo (wójtostwo), wydzierżawia rolę żydowi, zatrzymując dla siebie jedynie dom, ogród i parę morgów pod kartofle i paszę dla krowy i pary koni.

W podobnych warunkach nietylko wszakże pracuje on na roli — o ile na niej pracuje — opieszale, lecz, co gorsza, zaciąga na nią lekkomyślnie długi, w nadziei, że straciwszy majątek, dostanie bez trudu posadę, nie mniej mu od gospodarstwa zysku przynoszącą. Wszło bowiem na „Horniakach“ w zwyczaj, że posady i urzędy najlukratywniejsze przede wszystkim zbankrutowanym panom się dostają. Niesposób przecież stronnika rodziny w kłopotach opuścić, tembardziej, że dając mu posadę dobrze płatną — gdy majątek cały stracił — tem więcej go się ku sobie przywiązuje. Oczywiście, że dla takiego protegowanego wypada i na przyszłość być bardzo względnym i wyrozumiałym. Więc rachunków nie bardzo się kontroluje, nie „sekizuje“

się go rewizyami ksiąg a gdy przyjdzie denuncyacya, napisana przez jakiego zazdrosnego sąsiada—no, to i na to jest sposób: albo uprzedzony w czas „hudak“ zdąży rachunki przyprowadzić na czas śledztwa do porządku, albo — poda się do dymisyi, czy też o tranzlokacyę, zanim sprawa stanie się głośną.

Zdarzają się mimo to dość często wypadki, że malwersacye przebiorą miarę i kara musi nastąpić. Lecz opinia publiczna jest łaskawą. Taki pan, co odsiedział parę lat rekolekcyj — za roztrwonienie publicznego grosza—szacunku okolicy mimo to nie traci. Znajduje on w dalszym ciągu dostęp do wszelkich towarzystw i przy najbliższej okazji — dostanie znów posadę rządową — byle nadal wiernie służył rodzinie.

Trochę lepiej przedstawiają się stosunki jedynie koło Trenczyna. Poziom umysłowy i moralny szlachty tamtejszej, zamożniejszej i majątkowo niezależnej, stoi o wiele wyżej. Lecz i tam bardzo nieznaczny tylko procent właścicieli osobiście gospodaruje. Większość rolę oddaje w dzierżawę żydom, zabawą i polityką wyłącznie się zajmując.

Narodowcy słoweńscy zwa całą szlachtę „odrodila“. Faktem jest, że słoweńską się dziś ona nie czuje. Większość stara się nawet nie mówić po słoweńsku. A wszyscy wychowują dzieci w duchu czysto madyarskim. Do dzieci więc biorą madyarskie niańki, abonują jedynie madyarskie pisma dla młodzieży, najczęściej sami z dziećmi rozmawiają po madyarsku. A między sobą o ile rozmawiają po słoweńsku, co zresztą nigdy w liczniejszym towarzystwie nie ma miejsca, używają madyarskich wyrażań. Niejeden, więcej po nad kérem, téscik, szabat i ala szalają z madyarskiego nie wie, w domu po słoweńsku tylko a w towarzystwie po niemiecku mówi — niemniej przeto zapalonym jest madyaronem.

Jak na to już poprzednio wskazałem — przyczyniła się ku temu niemało polityka samychże narodowców. Nie bez wpływu wszakże jest i okoliczność, że jedynie madyaron na protekcyę może rachować. Jeśli bowiem w każdym komitacie różne rody o hegemonię walczą, to jednak wyraźnych różnic politycznych między nimi niema. Każdy ród prowadzi politykę rządową ma-

dyaryzatorską. O cóż bowiem koniec końcem chodzi? O uzyskanie dla swego przedstawiciela stanowiska głównego żupana. Oczywista zaś, iż rząd nie zamianuje na tak ważny posterunek członka opozycji.

IV.

Inteligencya słowecńska narodowa—to wyłącznie niemal inteligencya zawodowa: lekarze, nauczyciele ludowi, adwokaci i literaci. Nieliczna, od reszty ludności odcięta grupa idealistów — kultem przeszłości i nadziejami przyszłości żyjąca. Kto chce ją poznać, musi iść do św. Martina, do centrum kulturalnego życia słoweńskiego. W Martynie była w swym czasie „matica slovenska“. Dziś gmach jej wraz ze zbiorami skonfiskowany stoi opuszczony, szczelnie zamknięty. Podobno ma być on wkrótce przerobiony na urząd służnowski a zbiory przewiezione do Pesztu. Zresztą, wszystkie lepsze okazy już los ten spotkał.

Słoweńcy nie dali wszakże całkowicie za wygraną. Po zamknięciu „Maticy“ wystawili oni swój „dom“, miał to być „dom narodowy“, lecz władza na przymiotnik nie pozwoliła, więc zdobi go jedynie krótki napis: „dom“. W „domu“ na parterze z jednej strony

kawiarnia, z drugiej kasyno. Na górze zaś znajduje się muzeum słoweńskie i hotel. Muzeum niewielkie i niezbyt zasobne w okazy, lecz wybór okazów bardzo dobry. Więc nasamprzód jedna sala ceramiki; w niej też widzimy zbiór wałaszek (ciupag) i czekanów (czekanów) góralskich. Dalej idą trzy sale księgozbiorów i manuskryptów. Dwie z nich zawierają wyłącznie słoweńskie i o słoweńszczyźnie traktujące prace w całkowitym niemal komplecie (do 12,000 numerów). Na ścianach wisi trochę sztychów, lecz bez większej wartości. Wreszcie, dwie mniejsze sale poświęcone są ubiorom, haftom i koronkom ludowym. Jak już powiedziałem, zbiory są bardzo dobrze dobrane. Żadna okolica nie jest pominięta i wszystko wyraźnie usystematyzowane, przytem okazy są prawdziwie typowe, tak że muzeum daje rzeczywisty obraz kultury ludu słoweńskiego w granicach, dotychczas przez muzeum uwzględnionych.

Zapewne, możnaby wiele więcej ciekawych rzeczy zebrać: niektóre ważne bardzo działy są bowiem zupełnie pominięte. Należy wszakże pamiętać, z jak wielkimi trudnościami

nieliczni organizatorzy muszą walczyć. Zamknięcie Maticy i konfiskata majątku jej (100,000 guld.) bezwątpienia ofiarność wielu zmniejszyła. Muzeum, jak i „dom“, są dziś własnością prywatną, akcyjną. Formalnie nie stanowią one i nie mogą stanowić instytucji publicznej. W podobnych warunkach ofiarodawcy muszą pokładać w organizatorach muzeum bezwzględne zaufanie. A z natury rzeczy ogół skłonniejszym jest do krytyki, niż do ślepej subordynacji, szczególnie gdy o dobrowolne dary chodzi.

W muzeum a specjalnie w księgozbiorze, pracuje usilnie gromadka miłośników kultury słoweńskiej. Niedawno wyszła z druku księga przysłów słoweńskich. Wkrótce pójdzie pod prasę bibliografia słoweńska oraz historia ruchu słoweńskiego z 1848 r. Muzeum też dostarcza wciąż materiału dla licznych prac i monografij z zakresu literatury, etnologii, mitologii słoweńskiej—publikowanych w „Slovenskich Pohladach“.

Muzeum—to mózg Słoweńszczyzny, to pracownia, z której wychodzi wszystko, co w dziedzinie wiedzy i nauki słoweński naród posiada.

Oczywista, iż skoncentrowanie to narodowej inteligencji słoweńskiej w Św. Martinie nie pozostało bez wpływu i na miasto całe oraz jego okolice, jako też i na samą ową inteligencyę.

Św. Martin to jedyne bodaj prawdziwie słoweńskie miasto. Napisy na sklepach i domach słoweńskie, na ulicach słyhać wyłącznie niemal mowę słoweńską i mówi nią nie tylko chłop i robotnik, lecz i — niebywała gdzieindziej rzecz — zpańska ubrany mieszczanin, człowiek „ćwiczeny“ (edukowany), ba, nawet żyd.

Wraz z większą narodową świadomością mieszczaństwa, idzie i większa świadomość społecznych, ekonomicznych i towarzyskich jego interesów. Św. Martin posiada cały szereg instytucyj społeczno - gospodarczych o czysto słoweńskim i chrześcijańskim charakterze.

Więc nasamprzód widzimy słoweński, pod słoweńskim kierownictwem powstający i na słoweńskim, chrześcijańskim kapitale oparty bank „Tatra“, regulator finansowy z jednej strony handlu roznosicielskiego ludności komitatu turczańskiego, z drugiej, słoweńskich

przedsiębiorstw przemysłowych. W mniejszym zakresie, lecz w podobnym kierunku działa „sporitielnia“ (kasa oszczędności *). Prócz tego funkcjonuje akcyjna fabryka mebli giętych. Akcje są bardzo małe: 50-io guldenowe. W ten sposób fabryka stanowi produkcyjną lokację drobnych oszczędności mieszczań komitatu turczańskiego, którzy też de facto wszystkie jej akcje mają w swych rękach. Dziś kapitał jej wynosi 250,000 guldenów. Obrót półtora miliona. Fabryka zatrudnia wyłącznie słoweńskich urzędników; robotnicy też — a jest ich przeszło trzystu — są to sami słowacy, czesi i polacy (tych ostatnich zaledwie kilku). Dotychczas głównie produkuje ona na eksport do Australii i Holandyi. W ostatnich czasach wszakże zaczyna zdobywać na seryo rynek czeski. Towar nie jest tani, lecz robota sumienna bardzo. A przytem jest to

*) „Sporitielnie“ słoweńskie znajdują się i w innych miastach słoweńskich, jak np. w Żyliźnie; podpadły one w znacznym już stopniu wpływowi żydowskiemu i stanowią zwykle „geszefty“ Sporitielnia żylińska pobiera 3⁰/₀, gdy św.-martńska — 6⁰/₀.

jedyna słowiańska tego rodzaju firma w Austro-Węgrzech. Wzgląd ten podobno u czeskiej publiczności odgrywa znaczną bardzo rolę. Zresztą wszystkie wyroby fabryki noszą charakter słowiański.

Obok t. zw. wiedeńskich krzeseł, stołów, kanap, foteli, etc., wyrabia ona białe jaworowe zydle, stoły, bufety i kanapy w słoweńskim stylu ludowym zdobne malowanemi w barwy słoweńskie (czerwona i niebieska) deseniami snycerskiemi. Są to prawdziwie piękne a przytem, ponieważ nie fornirowane i z gotowanego, nie pękającego, więc ani nie podlegającego grzybkowi drzewa robione — nadzwyczaj trwałe rzeczy. Dalszą zaletę ich stanowi, że wszystkie części, w zwykłych stolarskich warsztatach składane z paru desek w siebie wpuszczanych, o ile zaokrągloną formę posiadają, są tu robione z jednej wygiętej deski. Cena ich jest dość wysoka, stosunkowo wszakże do estetycznego wyglądu i trwałości, bynajmniej nie wygórowana. Tak np. zydle po 7½ guldenów, stół jadalny na 24 osób 50 guld., i t. d... Ceny te wszakże zbyt są już wysokie, by meble te można było inaczej, niż na obstalunek robić. Na

zapas robi więc fabryka św.-marińska podobneż, lecz z bukowego drzewa i zwykłe formy giętych mebli posiadające a jedynie słoweńskimi motywami zdobione krzesła, stoły, i t. d. Zbyt ich w Czechach rośnie z każdym kwartałem. W Galicyi, wedle słów dyrektora fabryki, życzliwie po niej „brata poliaaka“ oprowadzającego, publiczność dotychczas przekłada tanią tandetę żydowską nad sumienny wyrób. Niestety, sąd ten o nas jest słuszny. Pomimo, że już Skarbek w ślicznym i pełnym głębokich myśli rozdziale „o oszczędności prywatnej“ przeciwko tendencyi naszej do kupowania taniożłych wyrobów wymownie występował, pomimo podobnych rad i nauk tylu późniejszych ekonomistów — my wciąż kupujemy: byle tanio. Zła to oszczędność i dowodem tego najlepszym, że nigdzie chyba na świecie nie żyje z ludu tylu żydowskich handlarzy tandety, co u nas, ze szkodą zarówno konsumentów, jak i ucziwych wytwórców. Mówiąc o roli i znaczeniu fabryki tej, nie mogę nie wspomnieć, iż dotychczas nie było w niej żadnego strejku, ani nawet próby takowego, gdy we wszystkich innych, tego

rodzaju bezrobocia są na porządku dziennym. Kierownicy jej są wszakże świadomi społeczno-narodowego jej znaczenia. Założoną została ona z myślą z jednej strony produkcyjnego zużycia drobnych oszczędności mieszczaństwa słoweńskiego, z drugiej zaś, zużytkowania w domu nadmiaru sił roboczych, zmuszonych szukać chleba na obczyźnie. Nie będąc instytucją filantropijną, spełnia ona dotychczas w zupełności swe zadanie, jak o tem sami robotnicy świadczą, chwając bardzo sumiennosc wypłat i lepszemu niż gdzieindziej obchodzeniu się z nimi.

Są to wszystko bezsprzecznie dzieła św. martińskiej inteligencji słoweńskiej i udało się jej przeprowadzić je tem łatwiej, że skupiona w jednym centrum tembardziej celową działalność może rozwijać.

Sama ona wszakże na tem bodaj czy dobrze wychodzi.

Żyjąc w ciasnem kole jednakowo myślących i czujących ludzi a do tego w małej miejscinie, niemal osadzie, naturalnym biegiem rzeczy wyrobiła ona w sobie pewien brak tolerancyi i niedoceniań zjawisk oraz

prądów, niepodchodzących pod formułę ich światopoglądu. Charakterystycznym tego przykładem, jest sąd jej o wspomnianym już „Hlasie“. Narodowcom św. martinskim wystarcza fakt, że „Hlas“ jest organem młodzieży i że młodzież ta zamiast tradycyi kollarowskiej i szturowskiej służyć, ideom Massaryka hołduje, by od chwili ukazania się pierwszego numeru tego pisma, najcięższe obwinienia nań miotać: renegactwa, moralnej korrumpcyi, przedwczesnego uwiązdu starczego a przede wszystkim pogardy ideałów i autorytetów narodowych. Przytem identyfikują oni mimowoli najbliższe swe otoczenie z całym narodem słoweńskim. Usposobienie i dążności ludności komitatu turczańskiego, są wedle nich, najczystszym wyrazem światopoglądu słoweńskiego ludu. Gdzie lud ma inne potrzeby i skłonności — tam jest on „odrodili“.

Jak jednostronnym tego rodzaju pogląd być musi, wynika już choćby z tego, że ludność turczańska żyje przeważnie na obczyźnie i że kierunek jej wychodźstwa oraz charakter jej zarobków — zgoła odmiennym jest od panujących w innych komitatach.

Turczanie bez wyjątku niemal kramarze, kupcy wędrowni, w Rosyi handlujący. Większą część życia swego przepędzają oni w Rosyi, w Rosyi zarabiają i majątki zbierają, a na Węgrzech płacą podatki. Cóż więc dziwnego, że w chacie włościanina turczańskiego wisi obraz cesarza Mikołaja II a nie Franciszka Józefa, że na stole jego leżą książeczki obrazkowe rosyjskie, że włościanin turczański twierdzi, iż od Trenczyna do Władystoku żyją sami słowacy, tylko jedni lepiej a drudzy gorzej po słoweńsku mówią a cesarz słoweński w Petersburgu rezyduje. Również naturalnem jest wszakże, że ludność trenczyńskiego i nitrańskiego komitatu do południowych Węgier, przedewszystkiem na zarobki chodząca — a jeśli nie z kosą „na Dolniaki“—to do Szwajcaryi, Niemczech, Austryi i Ameryki z drutem i szkłem wędrująca—owego poczucia wszechsłowiańskiej solidarności nie rozumie, natomiast świadomość swej państwowej przynależności do Węgier posiada, odpowiadając na pytanie co do swej narodowości: „uher som“. Wedle św. martinców niemniej przeto pierwszy fakt jest normalny, drugi nienormalny. Lud-

ność trenczyńska, mieszczańska jest wedle nich tak dalece „skazena“, że i nie warto się nią zajmować. Najspokojniej w świecie przyznają się oni do zupełnej nieznajomości panujących w tych ostatnich komitatach stosunków.

7e specjalnego, że tak powiem, turczańskiego punktu widzenia, sądzi też inteligencya św. martinska o wszystkich sprawach dalszych i bliższych. Przewódca jej, poeta i redaktor „Narodnich Nowin“, Swedczar Hurban, pod pseudonimem Najanskiego znany, człowiek wielkich zalet serca i umysłu, mimo zasług swych na polu zarówno sztuki jak i narodowej pracy, skromny i prosty w stosunkach z każdym, dziwne jednak na obcego robi wrażenie, gdy, zapominając całkowicie o rzeczywistości, w sądach swych zarówno o słoweńskich jak i niesłoweńskich sprawach i kwestyach, w roli co najmniej generała gubernatora wszechsłowiańskiego cesarstwa występuje. Polityka owego we snach poetyckich wymarzonego mocarstwa — jest dlań a i dla ogółu „narodowców“ słoweńskich kryterium wszelkich konkretnych zagadnień. Ztąd płynie zwykłym biegiem rzeczy fata-

lizm i doktryneryzm w traktowaniu realnych kwestyj życiowych. Kto marzeniami tylko żyje, te sprawy rzeczowych miarą realną mierzyć nie może. Charakterystycznym tego przykładem są odpowiedzi, udzielone mi przez dwóch z najwybitniejszych narodowców w kwestyach realnej bardzo wagi. Jedną z największych klęsk słoweńskiego ludu jest, jak to już poprzednio wspominałem — alkoholizm, przerażających dochodzący rozmiarów. Gdym o walce z alkoholizmem z jednym z proboszczów katolickich, energicznym obrońcą słowaków, rozmawiał i na działalność towarzystw niebieskiego krzyża w Szwajcaryi wskazał, proboszcz ów dał mi następującą odpowiedź: „Lud nasz pije przede wszystkim dla tego, że państwo żydów popiera. Rosya żydów wypędziła i zaprowadza kuratorye trzeźwości, ale Węgry to państwo żydowskie. Jedyne Rosya może tu zrobić porządek. Innej rady niema. Przed piętnastu laty próbowaliśmy zakładać stowarzyszenia różańcowe i nie udały się“. Podobną odpowiedź otrzymywałem za każdym razem, gdym z którymkolwiek z narodowych słoweńskich księży powyższy temat

poruszał. Innym znów razem mówiąc o zagwarantowaniem konstytucją 1867 r. prawie mniejszych narodowości żądania obok madyarskiego drugiego języka narodowego, zapytałem się jednego z przewodców politycznych słoweńskich narodowców, czy słowacy próbowali kiedy z prawa tego korzystać. Odpowiedź brzmiała: „Śmiesznem byłoby żądać czegoś, co nam z prawa naturalnego się należy. Rosyaby je nam bez naszego żądania udzieliła.

Brak wytrwałości, niedocenywanie prac drobnych, codziennych, brak inicjatywy indywidualnej a oglądanie się nieustannie na cudzą pomoc—to powszechnie wady nas wszystkich, słowian. Jedynie chyba czesi, w twardej szkole germanizacyi wychowani, wolni są od nich. U słowaków wszakże wady te silniej jeszcze chyba występują, niż w jakimkolwiek bądź innym słowiańskim narodzie, jak zresztą z drugiej strony i charakterystyczne nasze zalety: dobroć serca, gościnność, idealizm życiowy, łatwość i wszechstronność umysłu, zdolność do wielkich — choć coprawda krótkotrwałych — wysiłków w wyższym bodaj stopniu od Czechów, chor-

watów, polaków, ich cechuje. Wady owe wspólne są wszystkim bez wyjątku warstwowi ludności słoweńskiej. Wystarcza, by jakakolwiek próba raz się nie udała, ażeby słowacy na dziesiątki lat z odnośnego celu zrezygnowali. Oto parę przykładów. W dolinie Rajeskiej we wsi Strannem założoną została w 70-tych latach kasa pożyczkowo-wkładowa; osiem lat prosperowała ona bardzo dobrze; włościanie i drobna szlachta wielu okolicznych wsi przystąpiła do niej i zakres działania jej wciąż się rozszerzał. Niestety założyciel i kierownik jej, Stranian-ski, nauczyciel ludowy, podpadł powszechnej niemocy słoweńskiej, oddał się pijatyce i sprzeniewierzył dość znaczne sumy. Kasa upadła. Dziś niesposób nawet w całym żylińskim okręgu o kasie podobnej wspomnieć. Rychtar jednej z tamtejszych wsi: Końskiej, włościanin inteligentny, co dłuższy czas w Czechach przebył, próbował namawiać swych „obczan“, by założyli kasę Reifeisenowską. Naraził się on tylko na podejrzenia nieuczciwości. I tak we wszystkim. W jednej z gmin poważskiej doliny postanowiono nie wypuszczać w dzierżawę karczmy żydo-

wi. Wziął ją wobec tego w pacht włościanin, katolik. Żydzi denuncywali go wszakże, jako agitatora „panslawskiego.“ A że denuncyacya nie była bezpodstawna—włościaninowi „służny“ odebrał koncesyę. Zrażony tem niepowodzeniem zarząd gminy wydzierżawił z powrotem karczmę żydowi. I ludność okolicznych wsi na wszelkie zapytania, czemu nie spróbuje również chrześcianinowi wypuścić w dzierżawę karczmy, odpowiada wciąż to samo: „darmo, żydzi przeprowadzą co tylko zechcą.“ Nie różni się pod tym względem od włościan i inteligencya. Stroni ona od wszelkiej obywatelskiej działalności, bo wszystko się kiedyś gdzieś nie udało. Nie udały się stowarzyszenia trzeźwości przed piętnastu laty. Nie udała się w Strannem kasa pożyczkowo-wkładowa. Nie udał się w Bieżycy śpichlerz gminny. Nie udały się przed dziesięciu laty wybory narodowcom w Suczawach, i t. d., i t. d.

Przytem szlachta mówi: „To rzecz duchowieństwa starać się o podniesienie moralności i dobrobytu ludu.“ Księża zaś mówią: „Duchowieństwo nie może się kompromitować, narażając się na nieudanie.“ A inteli-

gencya miejska odpowiada: „My ludu nie znamy, ani lud nas nie zna; żebyśmy to mieli innych księży i panów!“ Wszyscy zaś społem wtórzają: „Próżno to wszystko; myśmy biedny, uciśniony naród.“

Oczywista, iż na tle podobnego usposobienia ludności słoweńskiej, marzycielstwo i doktryneryzm narodowców św. martińskich tem gorszy charakter przyjąć musiały. Komu z natury brak wytrwałości i inicjatywy, ten rozmarzywszy się, ostatnią jej szczyptę straci:

To też młodzież słoweńska, wychowująca się w Czechach, kraju intensywnej pracy kulturalnej, musiała wytworzyć reakcyę przeciwko prądom św. martińskim. Wyrazem reakcyi tej, od paru lat już się przygotowującej, jest „Hlas“, miesięcznik naukowo-społeczny, rok życia obecnie liczący. Jak to już poprzednio wspomniałem, jest to młode pismo i to nietylko w tem znaczeniu, że młode w niem siły pracują, lecz i w tem że cały jego pogląd na życie jest bardzo młodzieńczy. Krytyka jest absolutna, bez-

względna, nie rachująca się z psychologicznie możliwem i niemożliwem, z tradycjami i nawykniieniami osób i warstw. Pełno też wzniosłych, lecz ogólnikowych i w tonie kazań trzymanyh wezwań do młodzieży, obywateli, duchowieństwa. Niebrak wszakże pewnej liczby i rzeczowych, wyczerpujących prac, wskazujących drogi i środki realnej roboty: t. np. profesora Masaryka: Jak pracować, Dr. Makowickiego. O trachomie, bezimienna o czytelnictwie ludowem.

Co najważniejsze jednak, to tendencya, kierunek, w jakim pismo to dąży. Paru słowy da się to określić. Nieidealizowanie własnego narodu, ale poznanie jego potrzeb i dążności drogą ścisłych badań; praca drobna, codzienna nad kulturalnem i moralnem odrodzeniem słowaków zamiast szerokich niby a w gruncie fantastycznych politycznych kombinacyj, dążenie do równoprawnienia słowaków z madyarami, jako równoważnych obywateli państwa Węgierskiego.

Jest to wyraźna antyteza kierunku „Narodnich Nowin.“ Reakcyę przeciwko temu

ostatniemu stanowiąc, stara się też „Hlas“ i grupująca się koło niego młodzież uwolnić z pod panowania wszelkich doktryn. I w rzeczy samej od młodzieży tej daje się usłyszeć zawyczaj daleko realniejszy, obiektywniejszy sąd, niż od starszych wiekiem i wyrobieniem życiowym św. martińców. Większy ten obiektywizm pierwszych przebija się nietylko w stosunku ich do spraw miejscowych, do własnego ich społeczeństwa z jednej a madyarów z drugiej strony, lecz również w stosunku ich do obcych narodów, między innymi do nas i naszej literatury. Dla Hurbana, który sam jest przecież poetą, Mickiewicz jest przedewszystkiem wyrazicielem niezgody wśród słowian a Sienkiewicz obrońcą szlachty. Więc niepodobają mu się oni: Tak żakowsko-doktrynerskich zdań niesposób wśród „hlasistów“ usłyszeć. Dziwnem się może wydać, że tak naturalną rzecz podkreślić się czuję obowiązany. Lecz i pojęcie naturalnego jest względnem. Co w jednym otoczeniu samo się przez się rozumie, to w drugim jest uwagi godnem zjawiskiem.

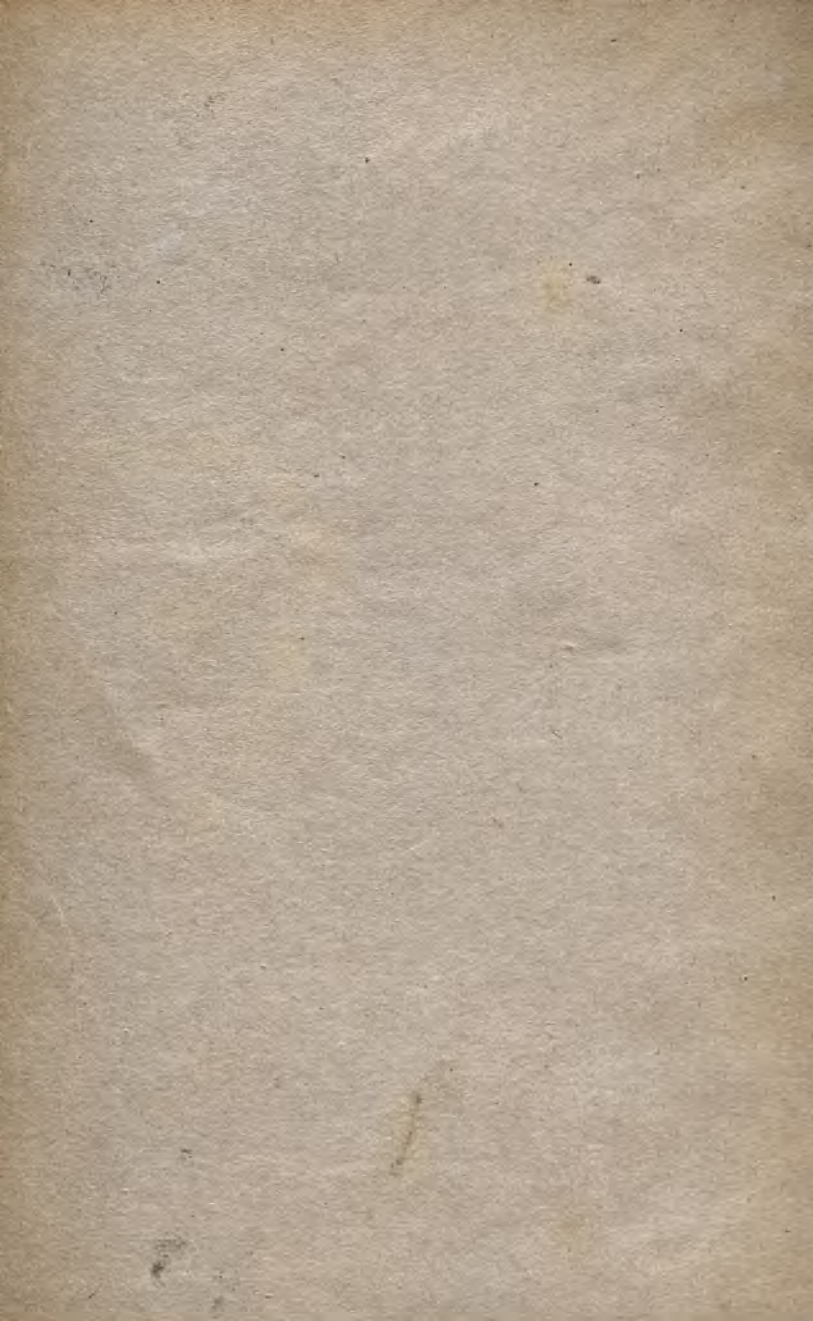
Oczywista, iż grupa zwolenników „Hlasu“ jest bardzo nieliczna. Zjazd młodzieży „realistycznej“ w Św. Mikularzu Liptawskim, który w lecie przeszłego roku miał miejsce, zgromadził zaledwie do 80-ciu osób. Lecz wogóle inteligencji słoweńskiej, przyznającej się do słoweńskiej narodowości, jest minimalnie. Zjazd młodzieży, w Św. Martinie zwołany w tym samym czasie przez „narodowców“, liczył nie więcej nad 60 uczestników. Wedle szacunku zarówno „starych“, jak i „młodych“ conajwyżej—dwa proc. inteligencji słoweńskiej nie madyaryzuje się. Młodzi sądzą, że „realne“ ich dążenia zdołają zwrócić w kierunku słoweńskim większą ilość kończącej zakłady naukowe młodzieży, niż były to w stanie uczynić panslawistyczne marzenia starych. Czy praca ich natychmiast wyda owoce, trudno przesądzać. Zamało jest obywatelskiego ducha dziś wśród inteligentnych klas ludu słoweńskiego a zbyt wielka wiara w „protekcyę“ i pobłażliwość dla płaskiego karyerowiczostwa. Odezwy „realistów“, szlachetne i wzniosłe, nieraz jeszcze będą głosem wołającego na puszczy. Lecz rozczarowania i początkowe nieudane

nie powinny ich zgłębić, gdyż program ich daje naprawdę grunt dla moralnego i materialnego odrodzenia się ludu słoweńskiego, wskazuje drogę, po której idąc, słowacy mogą się stać narodem, w całkowitem znaczeniu tego słowa.

KONIEC.







Biblioteka Śląska w Katowicach

Id: 0030000623232



I 175956